

Wstęp

Dawno temu stary, mądry człowiek opowiedział mi dosyć dziwną historię:

Pewien niezwykle bogaty biznesmen jeżdżąc do pracy swoją limuzyną, codziennie mijał mostek na niewielkiej rzeczce. Zawsze kiedy tamtędy przejeżdżał, widział bardzo skromnie ubranego Indianina, który łowił ryby. Przedsiębiorca był człowiekiem wrażliwym i bardzo żał było mu biedaka. Pewnego razu nie wytrzymał, zaparkował limuzynę obok mostu i zszedł do Indianina.

— Dlaczego tak się męczysz tą wędką — zagał.
— Przecież mógłbyś pożyczyć sieć.

— Ale po co? — spokojnie zapytał Indianin, nie odrywając oczu od splotnika.

— Bo wtedy nałowiłbyś więcej ryb i mógłbyś je sprzedać.

— Ale po co? — dopytywał się Indianin.

— Bo za zarobione pieniądze mógłbyś kupić trzy własne sieci.

— Aha. — Pokiwał głową wędkarz. — Ale po co?

— Bo jakbyś miał trzy sieci — tłumaczył biznesmen — mógłbyś zacząć łowić w morzu.

— Ale po co?

— Bo w morzu jest więcej ryb. I gdybyś ciężko pracował, po jakimś czasie stać by cię było na kupno własnego trawlera.

— Ale po co? — nie dawał za wygraną Indianin.

— Bo ten trawler w krótkim czasie zarobiłby na następne trzy statki i ani byś się obejrzał, a byłbyś właścicielem całej flotylli.

— Ale po co?

— Bo dzięki zyskom mógłbyś kupić bank, wybudować hotel, otworzyć kasyno, uruchomić linię lotniczą, wejść na giełdę — biznesmen był w swoim żywiole.

— Pewnie tak, ale po co? — powtarzał jak papuga Indianin.

— Bo wtedy nareszcie miałbyś już tyle kasy, że mógłbyś robić to, co chcesz.

Indianin leniwie odwrwał wzrok od splawika, spojrzął na biznesmena i z nieznanym spokojem powiedział:

— Ja właśnie robię to, co chcę.

Po wielu latach absolutny przypadek sprawił, że zrozumiałem przesłanie starego mędrcza.

Rozdział I

Na liczniku mercedesa było jak zwykle 160. Z trzema litrami pod maską i zapasem 180 koni trudno jeździć wolniej, zresztą po co? Wracalem do stolicy spod warszawskiej miejscowości, w której aż roilo się od świeżo postawionych willi nowobogackich mieszczuchów. W jednej z nich miałem spotkanie z producentem. W sobotni majowy wieczór na Trasie Katowickiej było prawie pusto, rozsiadłem się wygodnie za kierownicą i z papierosem w ustach prowadziłem niekończące się rozmowy przez komórkę. Mimo znuroku wysoka temperatura na zewnątrz dawala się we znaki, dlatego nie wyłączałem klimatyzacji. Silnik był ledwie słyszalny, a wnętrze auta prowadziło w sielankowy nastrój. Do dziś został mi sentyment do mercedesa. Człowiek czuje się w nim jak u pana Boga za piecem. Przyjemny wieczór. Rozmowy poszły znakomicie, podpisałem kontrakt na scenariusz do nowego programu. Życie nie umierać.

Wychodząc z za zakrętu, nieznacznie docisnąłem pedał gazu, wyprzedzając kilku maruderów, którzy wlekli się 120 kilometrów na godzinę. Parkują na tej drodze czy co?

Nagle zobaczyłem w światłach dziwny cień. Coś czarnego stało na asfalcie. Nie pomógł refleks, ABS ani wszystkie te nowoczesne bajery, na które producenci łapią nabywców luksusowych limuzyn, powodujące, że samochód zatrzymuje się w miejscu. Ktoś, czy może coś odbiło się od maski samochodu z siłą, z jaką piłeczka tenisowa odbija się od ściany. Zatrzymałem się jakieś dwadzieścia metrów dalej i zjechałem na pobocze. Poczutem „uchość w gardle, a ręce latały mi jak delirykowniki. Co robić? Najchętniej uciekłbym, gdzie pieprz rośnie. Ale nie można, trzeba wysiąść i sprawdzić, co się stało. Przez głowę jak błyskawica przeleciała paralizująca myśl: „Zabiłem człowieka!”.

Otworzyłem drzwi i stanąłem za samochodem, nikt nie przejeżdżał. Dookoła panowała absolutna, złowieszcza cisza. Nastawiłem uszu. W rowie coś jakby nieznacznie się poruszyło. A może tylko mi się wydawało? Trzeba sprawdzić. Otworzyłem bagażnik, wyjąłem latarkę i ruszyłem w kierunku za rośli. Po przejściu dziesięciu kroków przystanąłem, żeby postuchać. Nie było wątpliwości — w krzakach coś się ruszało. Boże...

Wziąłem głęboki oddech i nakierowałem latarkę na źródło ruchu. Na dnie rowu leżał pies. Kamień

spadł mi z serca. Jakie szczęście, że to nie człowiek. Nigdy nie czułem tak wielkiej ulgi. Zgasilem latarkę i wróciłem do samochodu. Po chwili siedziałem już za kierownicą, ruszając z piśkiem opon. Nic się nie stało.

* * *

Po przejechaniu dwóch kilometrów niczym sztylet przeszłyła mnie myśl: „A jeśli ten pies jednak żyje?”. Bzdura. Kiedy w niego uderzyłem, jechałem przynajmniej setką.

„Przecież się ruszał” — przypomniałem sobie. Jednak sumienie nie dawalo mi spokoju.

To tylko pies, jakiś nikomu niepotrzebny kundel błąkający się po drogach. W dodatku za dwadzieścia minut mam być w knajpie na prozzonej kolacji. Przycisnąłem do 180.

Po kolejnych trzech kilometrach wydarłem się ile sił w płucach:

— Niech to szlag jasny trafi!!!

Następnie wcisnąłem do oporu pedał hamulca, zredukowałem bieg i zawróciłem pełnym poślizgiem, tak jak uczyli mnie koleddy rajdowcy.

Szybko odnalazłem właściwą kępe zarosli. Wziąłem latarkę i ruszyłem w stronę rowu. Byłem na siebie zły.

„Co cię obchodzi jakiś kundel?” — powtarzałem w myślach.

Zatrzymałem się w miejscu, które zapamiętałem aż nazbyt dobrze, i ostrożnie przyświeciłem. Mogę się założyć, że serce waliło mi głośniejsz niż dzwon Zygmunta. W końcu oglądanie trupów — nawet psich — nie należy do przyjemności. Leżał tam. Żywy! W kałuży krwi z nienaturalnie ułożonymi kończynami, z rozszarpanym bokiem, wystający mi kośćmi, ale żywy. Na mój widok cichutko zaskomlał. Patrzył na mnie, a jego oczy zdawały się mówić: „Dziękuję, że wróciłeś”.

Wydarzeniaabrały zawrotnego tempa. Wyjąłem komórkę i połączyłem się z biurem numerów. Po pięciu sekundach miałem już telefon do pogotowia Animals. Pospiesznie wykręciłem numer i usłyszałem sympatyczny kobiecy głos:

— Pogotowie Animals, w czym możemy pomóc?

— Jestem na Trasie Katowickiej — zaczęłam z impetem — dziesięć kilometrów przed Jankami. Jakiś pies wpadł pod koła, jest połamany i strasznie krwawi. Proszę natychmiast przyjechać.

— Przykro mi, ale nie mamy żadnego wolnego samochodu.

— Jak to nie macie samochodu?! — wykrzyczałam wściekły. — To ja zamiast spokojnie odjechać, szukam psa po rowach, dzwonię do was, tracę czas, a wy nie macie samochodu...

— Proszę się nie denerwować, niech pan zrozumie, jedna karetka jest w terenie, a druga w warsztacie na przeglądzie.

— To co ja mam zrobić, przecież on zaraz się wykrwawi, jeżeli już się to nie stało.

— Niech go pan do nas przywiezie. Przepraszam, nie mogę dłużej rozmawiać, jesteśmy w trakcie operacji. — Odłożyła słuchawkę.

Jak to przywiezie? Czym? Mam go położyć na skórzanym siedzeniu mojego samochodu? Ta ba ba chyba zwarowała. Trudno, nic nie poradzę, chciałem jak najlepiej, ale widocznie tak było pisane. I tak pewnie już niewiele można dla niego zrobić. Jadę. Jeszcze raz spojrziałem na psa. Oddychał bardzo ciężko. W świetle latarki dostrzegłem jego oczy. Patrzyły na mnie ze spokojem i jakas niebywałą mądrością.

Bardziej odruchowo niż świadomie zjąłem marynarkę, okryłem zwierzę i najdelikatniej, jak tylko potrafiłem, uniosłem. Pies ważył dobre 40 kilogramów. Z trudem dotarłem do samochodu i pomagając sobie kolanem, otworzyłem drzwi. Kiedy kładłem go na tylnym siedzeniu, zaskomlał żałośnie.

— Leż, leż, spokojnie.

Pogłaskałem nieszczęsnika po głowie i nie tracąc czasu, usiadłem za kierownicą i ruszyłem.

* * *

Mimo późnej pory w poczekalni kliniki dla zwierząt panował tłok. Kilkunastu właścicieli czworo-

nogów razem ze swoimi pupilami czekało na wizytę u lekarza. Byli kompletnie różni, młodzi i starzy, lepiej i gorzej ubrani, kobiety, mężczyźni, a nawet dzieci. A mimo to łączyło ich jedno, bezinteresowna miłość i troska o swoich podopiecznych. Pierwszy raz widziałem, żeby ktoś poświęcał tyle uwagi i serca zwykłym psom, kotom czy kanarkom. Ale też nigdy wcześniej nie byłem w lecznicy dla zwierząt, bo i po co, skoro jak dotąd nie hodo- wałem nawet chomika.

Kiedy pojawiłem się w drzwiach poczekalni, wszyscy jak na komendę wstrzymali oddech i wybatuszili oczy. Na ich miejscu zrobiłbym dokładnie to samo. Twarz miałem umazaną na czerwono niczym wódz Apaczów po wykopaniu topora wojennego. Koszula, spodnie, a nawet buty były zbroczone krwią, a na rękach trzymałem dużego czarnego psa owiniętego w oryginalną marynarkę Bossa za dwieście dolarów.

Krótko mówiąc, takiego wejścia nie miał nawet Bruce Lee w *Wejściu smoka*. Od miejsca, w którym zaparkowałem samochód, pokonałem już dobre dwieście metrów i miałem wrażenie, że pies wazy przynajmniej tonę. Na ostatnich nogach przeszedłem przez poczekalnię, kierując się w stronę otwartych drzwi gabinetu. Chcąc się usprawiedliwić, rzuciłem do wybatuszonych oczu i opadłych szczęk:

— Przepraszam, ale ja z wypadku.

W środku młoda pani doktor z receptą w ręku tłumaczyła zmęczonej życiem emerytce, w jaki sposób zakrapiać krople jej ukochanemu kotkowi. Bardziej z braku sił niż z wrodzonej bezczelności położyłem psa na stole i próbując złapać oddech, wykrztusiłem:

— To ja do pani dzwoniłem... Przywiozłem, tak jak pani казаła, chociaż pewnie niepotrzebnie, bo on zaraz zdechnie.

Miała może trzydziestkę, regularne rysy twarzy, długie blond włosy, zielonkawę oczy i niezłą figurę. Szczerze mówiąc, bardziej pasowała na modelkę niż na weterynarza. W innych okolicznościach pomyślałbym, że to całkiem zdrowa dupa. Zresztą i tak pomyślałem. Spojrzała mi w oczy i ze spokojem powiedziała:

— Pies nie zdycha.

— A co? — zapytałem głupkowato.

— Jeśli już, to odchodzi. Ale może nie będzie tak źle. Bierzmy się do roboty.

Emerytka powiedziała dobranoc i z klatką w ręku opuściła gabinet, zamykając za sobą drzwi. Pani doktor podeszła do leżącego na stole nieszczęślika i rozpoznała oględziny. Delikatnie obmacała kończyny i klatkę piersiową, zajrzała w oczy i pysk, przejechała dłońmi wzdłuż kręgosłupa. Kilka razy ucisnęła podbrzusze, a kiedy osłuchwała zwierzę ze wszystkich stron, zawyrokowała:

— Mogło być gorzej. Kręgosłup jest cały, tylna

noga ma otwarte złamanie, z przednią też nie jest najlepiej. Niestety, któreś z żeber przebito płuco, stracił bardzo dużo krwi, ale jeśli nie ma poważniejszych obrażeń wewnętrznych, to jest szansa, że się z tego wyliże.

— Specjalnie optymistycznie to nie brzmi — skwitowałam jej fachowy wywód.

— Jestem sama, musi mi pan pomóc, mamy bardzo mało czasu.

— Jak to pomóc? Przecież ja się na tym kompletnie nie znam.

— Najpierw podamy mu krew i opatrzmy rany, później rentgen i szycie, a dalej, to się zobaczy.

Pani doktor uzbroiła kilka strzykawek w igły, wyjęła pięć różnych ampułek i odciągając tłoczek, wprowadzała ich zawartość do strzykawki. Następnie zrobiła kilka zastrzyków. Pies ani drgnął.

— Jest w śpiączce — potwierdziła moje podejrzenia. — Jak pan mógł wypuścić ją na ulicę?

— Jaką ją? — spytałam, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

— Suczkę.

— Suczkę! Ale pani doktor, to nie jest mój pies, znaczy to nie jest moja suka.

— Pan ją tylko znalazł potrąconą, tak?

— Niezupewnie. Wpadła mi pod koła.

— A, przejechał ją pan.

Wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że gdyby to od niej zależało, zapuszczkowałaby mnie

na dziesięć lat do pudła. Próbując się bronić, powiedziałam:

— Co zrobić, kręci się tyle tych kundli po drogach, że trudno nie przejechać.

— Jakich kundli? To przepiękny rasowy briard.

O rasach psów wiedziałam mniej więcej tyle, co o życiu intymnym kosmitów, dlatego inteligentnie zapytałam:

— Co takiego?

— Briard. Francuski owczarek długowłosey, niezwykle stara, piękna i mądra rasa.

* * *

Na najbliższe trzy godziny zamieniłem się w pomocnika weterynarza. Podnosiłem, przytrzymywałem, przycinałem sierść, przemywałem rany, zmieniałem opatrunki, zawijałem, odwijając, gipsowałam. Przy rentgenie służyłem za żywą podórkę, albo raczej za żywego przytrzymałowca kończyn i sądząc po liczbie wykonanych zdjęć, gdyby nie wazący ze sto kilogramów fartuch ochronny, promieniowałbym bardziej niż elektrownia w Czarnobylu.

Kiedy skończyliśmy, pies wyglądał jak weteran obydwu wojen, którego alianci zrzucili na terytorium wroga bez spadochronu. Co gorsza, ciągle pozostawał w śpiączce.

Spojrzałem na zegarek, było dziesięć po dru-

giej. Pani doktor Maria zaproponowała kawę. Kiwnąłem głową z aprobatą.

— I co teraz? — spytałem ostrożnie.

— Jeśli wyjdzie ze śpiączki, to powinno się udać.

— A jakie są szanse?

— Trudno powiedzieć, każdy przypadek jest inny. Dwadzieścia, może trzydzieści procent.

Nie mogłem uwierzyć, tyle zachodu dla dwudziestu procent? Tyle zmarowanego czasu, sił i środków... Ale zaraz uświadomiłem sobie, że gdyby istniał choć jeden procent, doktor Maria zrobiłaby też absolutnie wszystko, żeby ratować zwykłego psa. Nie ukrywam, że trudno było mi to wtedy zrozumieć. Zawsze myślałem, że zwierzę to tylko zwierzę i już. Parująca kawa wyrwała mnie z zadumy.

— A jeśli się obudzi? — zapytałem optymistycznie.

— Wtedy damy ogłoszenie. To piękny rasowy pies, właściciel na pewno się znajdzie.

— Biorę to na siebie — zapewniłem. — Współpracuję z telewizją i niektórymi gazetami, więc z nagłośnieniem sprawy nie będzie kłopotu.

— A czym się pan zajmuje, jeśli wolno spytać?

— Piszę teksty, scenariusze, czasami trochę reżyseruję.

— Show-biznes?

— Nie przesadzajmy. Jeśli nie jestem pani już

potrzebny, to pojedę do domu. Jutro czeka mnie ciężki dzień.

— Oczywiście, dziękuję za pomoc, spisał się pan wyczerpanie. — Pani doktor ładnie się uśmiechnęła. — Dobranoc.

— Dobranoc.

show-biznes

Rozdział II

Obudziłem się o wpół do dwunastej wymięty jak peorelowski krawat. Zaparzyłem kawę i zapaliłem papierosa. Patrzyłem tępo w ścianę, czekając na moment, kiedy mój mózg wejdzie na jako takie obroty. Jaki jest sens się budzić, jeśli dzień zaczyna się od kawy i papierosa? Sto razy obiecywałem sobie, że nie będę palił na czczo. Inne rzeczy obiecywałem sobie jeszcze częściej. Na przykład, prawie dwieście razy obiecywałem sobie, że będę się rano gimnastykował, trzysta, że zacznę biegać, pięćset razy obiecywałem, że tak ogólnie się za siebie wezmę, no i ze dwa razy obiecałem, że się w końcu ożenię.

Straszny nałóg. Nie mam na myśli kobitek, lecz palenie. Chociaż znam facetów, których kobieta wciągnęła bardziej niż nikotyna. W każdym razie i jedno, i drugie ciężko rzucić. Niewiastę chyba nawet łatwiej, wystarczy się odkochać, a weź odkochać się w papierosach. Ale któregoś dnia rzucę,

obiecuje. Tym bardziej że dookoła prawie nikt sensowny już nie pali. Proletariat owszem dymi, ale też już coraz mniej. Jedynie małolaty kopcą bez opamiętania, ale — jak mawiał poeta — młodość musi być chmurna i durna.

Podniosłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do Karola. Zona powiedziała, że jest dzisiaj wydawcą i znajdzie go w firmie. Wziąłem kąpiel, zjadłem śniadanie, rzuciłem okiem na gazetę i zszedłem do samochodu.

Na parkingu przed telewizją było pusto jak na balu dobroczynnym w momencie zbierania datków, wiadomo, niedziela. Ukłoniłem się strażnikom i pokazałem przepustkę. Karola nie było w biurze.

— Aniele, gdzie go znajdzie? — rzuciłem do sekretarki.

— Panie Wojtku — zaczerwieniła się na samą myśl słowa „aniele” — lata gdzieś bez przerwy. Powinien być w studiu.

— Dzięki, aniele.

— Nie ma za co.

Zjechałem windą, minąłem krótki korytarz i wszedłem w drzwi z napisem: „Cisza. Nagranie”. Kręciłem się jakąś reklamówkę, bo po planie miotał się siedemnasty garnitur reżysera.

— Magda, skup się! — krzyczał do zdegrustowanej, skąpo odzianej panienki stojącej obok wielkiego słoja ze złotą rybką. — To nie jest jakiś bzdet, tylko poważne audiotele.

— To jak ja mam to zagrać? — zapytała naburmuszona Magda.

— Normalnie — powiedział siedemnasty garnitur. — Zadasz pytanie tak jak w tekście: „Kto gra rolę Heleny w *Ogniem i mieczem*: Izabela Scorupco czy Chuck Norris?” i przy prawidłowej odpowiedzi mrugasz okiem. Takie trudne?

— A która odpowiedź jest prawidłowa? — zapytała od niechcenia dziewczyna.

— No, szlag mnie trafi. Jak to, która jest prawidłowa... Nie masz scenariusza?

— Zostawiłam w domu.

— Matko jedyna, z kim ja pracuję! Ej, kto ma scenariusz?! — krzyknął siedemnasty garnitur.

— Ja! — odezwał się siedzący przy ścianie chłopak, pewnie kierownik produkcji.

— To przeczytaj jej, która odpowiedź jest właściwa — nie dawał za wygraną siedemnasty.

— A! — odpowiedział kierownik produkcji.

— W *Ogniem i mieczem* grała Izabela Scorupco.

— No, i przy nazwisku mrugasz okiem — polecił reżyser. — W porządku, gramy.

Na wszelki wypadek wolałem nie patrzeć, jak to się skończy. Minąłem dekorację i ruszyłem w stronę reżyserki. Karol jak zwykle ucieszył się na mój widok.

— Wojtuś, stary koniu, co cię do mnie sprowadza?

Był ode mnie starszy dobre dwadzieścia lat.

Telewizję znał na wylot, byłwał producentem, montażystą, reżyserem, konferansjerem, ale przede wszystkim był świetnym kompozytorem. Spod jego ręki wyszła połowa przebojów w czasach, kiedy jeszcze muzyka i tekst miały jakikolwiek znaczenie. W pracy spotykaliśmy się kilkakrotnie i zrobiliśmy razem mnóstwo przeróżnych programów. Mimo że uchodził w branży za osobę kontrowersyjną, uwielbiałem z nim pracować, głównie z uwagi na jego niesamowitą błyskotliwość i finezjny dowcip. Jeśli idzie o fizjonomię, to był klasycznym syndromem — jak ja to nazywam — ZA-DU. ZA DUżo zarcia, ZA DUżo wódki i ZA DUżo papierosów, przez grzeczność nie wspomnę o niewiastach.

— Czy bylbys uprzejmy wyświadczyć mi przysługę? — zagailem.

— Tobie zawsze — odbił bez namysłu.

Był pierwszą osobą, z którą podzieliłem się wczorajszymi wydarzeniami.

— Uderzyłem wczoraj w psa — oświadczyłem sucho.

— Gdzie?

— Na Katowickiej, było ciemno, a on stał na drodze. Fakt, że jechałem szybko, ale nie dał mi żadnego szans.

— Czasami tak bywa — stwierdził filozoficznie.

— Mocno dostał?

— Lepiej nie pytaj, ale żyje. Zawiozłem niebezpieśnika do pogotowia i jakoś go poskładali.

— Gratuluję.

— Czego? — Byłem prawdziwie zdziwiony.

— Ludzkich, a raczej należałoby powiedzieć zwierzęcych odruchów. Wszyscy, no może prawie wszyscy, których znam, odjechałby, nie robiąc sobie zbędnego kłopotu.

— Daj spokój, też miałem taki zamiar. Nieważne. Wprawdzie pies jest w śpiączce, ale być może się obudzi.

— To świetnie — ucieszył się Karol.

— Tak, tylko widzisz, to jest rasowy owczarek, na pewno ktoś go będzie szukał. I bardzo chciałbym cię prosić o nagłośnienie sprawy.

— Rozumiem. — Zamyślił się.

Nie mogłem lepiej trafić, gdyż Karol od wielu lat hodował psy, kochał je i, jak mało kto, znał się na nich. Obiecał wszelką możliwą pomoc.

— Informacje dotyczące psa będą się przez najbliższy tydzień pojawiać we wszystkich wydaniach Kuriera regionalnej Trójki. Poza tym zaprzysiężeni redaktorzy umieszczą odpowiednie anonsy w swoich gazetach. A, i załatwię, że wiadomość pójdzie do Internetu.

— Stary, jak ja ci się odwdzięczę?

— Odrobisz w polu. — Miał zwyyczaj tak mówić w podobnych sytuacjach. — A tak w ogóle, stawiasz małą wódkę.

— W każdej chwili — zapewniłem o swoich szczerych intencjach.

Pożegnaliśmy się wylewnie, obiecując, że w najbliższym czasie umówimy się na tę wielokrotnie odkładaną małą wódkę. Nie będę ukrywał, że trochę się tego bałem. Już kilka razy wychodziłem z nim na małą wódkę i zawsze przez najbliższe trzy dni byłem śmiertelnie chory. Naprawdę nie zazdroścę tym, którzy umawiają się z Karolem na dużą wódkę.

* * *

Gdy byłem już w samochodzie, zadzwonił telefon — w słuchawce usłyszałem doktor Marię.

— Dzień dobry, to pan, panie Wojtku?

— Tak — zapewniłem. — Dzień dobry.

— Suczka się obudziła, pomyślałam, że chciałby to pan wiedzieć.

— Zaraz przyjadę — odpowiedziałem bez namysłu.

* * *

W lecznicy było pusto. Chłód, jaki dawały grube mury, przyjemnie łagodził upał panujący na zewnątrz. Przywitałem się z panią doktor, która natychmiast powiodła mnie korytarzem w głąb kliniki. Otworzyła znajdujące się we wnęce zielone drzwi i weszliśmy do środka. Na niewielkim materacu przykrytym kocym leżała suczka. Czarna

sierść kontrastowała z białym jak śnieg gipsem. Z przedniej łapy wystawała igła, do której przy-mocowana była dwumetrowa rurka mająca swój początek w zawieszonym na stojaku woreczku. Domyśliłem się, że to kroplówka. Cały bok był wy-golony, a na gołej skórze było widać niezliczoną ilość szwów. Mimo to pies prezentował się dużo lepiej niż wczoraj.

— Biedactwo. Jest śliczna — podzieliłem się swoim wrażeniem.

— Tak, ale bardzo osłabiona, poza tym po takiej ilości znieczulających zastrzyków nie bardzo wie, co się z nią dzieje.

Podszedłem bliżej, uklęknałem przy matce, w-ku i pogłaskałem zwierzę po grzbiecie.

Pies ostrożnie podniósł głowę i delikatnie poli-zał moją rękę ciepłym językiem. Poczulem, jak po całym cieple przegalopowało mi stado mrówek. Z wrażenia zrobiło mi się gorąco. Była w tym jakaś niesamowita magia, pierwotna tajemnica natury. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że to stwo-rzenie tak naprawdę niewiele różni się ode mnie. Jeśli potrafi cierpieć — a niewątpliwie cierpiało — to potrafi również być szczęśliwe, a jeśli potrafi się cieszyć — chociażby merdając ogonem na widok pana — to musi czasami być smutne, a skoro jest zdolne do odczuwania wyższych uczuć, to z pew-nością potrafi również myśleć.

Pies dalej lizał moją rękę, mrówki galopowały,

albo nawet przeszły już w cwał, a ja ze wzruszenia miałem łzy w oczach.

— Poznała pana. — Pani doktor się uśmiech-nęła.

— Myśli pani?

— Na nikogo nie zareagowała w taki sposób.

— To raczej przypadek.

— Nie sądzę, pan uratował jej życie i ona do-brze o tym wie.

Zostawiliśmy psa w spokoju i przeszliśmy do gabinetu. Zreferowałem pani doktor efekt wizyty u Karola i wyraziłem nadzieję, że właściciel szyb-ko się znajdzie.

— Kawa? — zaproponowała.

— Nie chciałbym nadużywać gościnności — łągałem jak z nut.

— Niech pan nie żartuje. Klienci pojawiają się pewnie dopiero przed wieczorem, a do tego czasu muszę siedzieć tu sama jak sierotka Marysia. — Włączyła elektryczny czajnik.

— Ma pani piękny zawód — zmienilem temat.

— Chyba tak — zamysliła się na chwilę. — Piękny, chociaż nie najłatwiejszy.

— Co do tego nie ma żadnych wątpliwości — zapewniłem pospiesznie.

— No i podobno nie dla kobiet.

— A to dlaczego?

— Zawód ten wymaga zdecydowania, mocnych nerwów, zimnej krwi, czasem siły i chyba z tego

powodu się uważa, że kobiety weterynarze to takie babochłopy.

Woda w czajniku się zagotowała i pani doktor mogła zaserwować kawę.

— Rozpuszczalną czy sypaną?

— Sypaną, pani doktor. — Poprawiłem się w fotelu. — Jeśli pani jest babochłopen, to ja chciałbym zobaczyć stuprocentową kobietę.

— Bardzo pan miły. — Podniosła filizankę do ust.

— Czy każdy weterynarz musi kochać zwierzęta? — zacząłem z innej beczki, żeby nie wyjść na takiego komplemenciarza.

— Trudno mi odpowiadać za wszystkich. Kochać być może nie musi, ale nie da się uprawiać tego zawodu, jeśli zupełnie nie lubi się zwierząt.

— Ale pani je kocha? Niepotrzebnie pytam, widziałem przecież, jak wczoraj zajmowała się pani tym psem.

— Staram się, a raczej powinnam powiedzieć: uczyć się je kochać.

— Jak mam to rozumieć?

— Opowiem panu króciutką historię. Gdy byłam nastolatką, dostałam od rodziców owczarka niemieckiego. Zajmowałam się nim tak, jak trzeba, i byłam święcie przekonana, że bardzo go kocham. Któregoś razu pies pogryzł mi nowe, przywieszone z NRD kozaki. Wpadłam w szal i sprawiłam psu straszne manto. Widzi pan, łatwo jest kochać jakies

stworzenie, jeśli grzecznie leży nam na kolanach, trudniej, jeżeli daje nam się we znaki. To miałam na myśli, mówiąc, że się uczę. Brzmi zabawnie, ale zdarza się, że pacjent mnie ugryzie. Pierwszą i zupełnie naturalną reakcją jest, żeby dać mu po łbie. Jednak wrażliwy, kochający zwierzęta człowiek powinien w takiej sytuacji umieć wybaczyć.

— Wybaczyć tym bestiom, które zagryzają dzieci, albo i swoich właścicieli? — zaatakowałam nieco wzburzony.

— Przepraszam, panie Wojtku, ale jest pan kolejną ofiarą medialnej propagandy.

— O czym pani mówi, jakiej propagandy? Bez przerwy słyszę, że psy kogoś zagryzły, to nie jest propaganda, tylko fakt. — Trochę mnie poniosło.

— Tylko że za każdym razem widzi pan i można rzec słyszy tylko jedną stronę medalu.

— Jak to?

— Zwyczajnie. Przeważnie dziennikarz pełnym trwogi głosem relacjonuje z miejsca tragedii, jak to wściekły pies rzucił się komuś do gardła. Tak?

— No, z grubsza tak to wygląda, i co z tego?

— A czy kiedykolwiek usłyszał pan od jednego choćby dziennikarza, dlaczego ten pies to zrobił?

— Jak to dlaczego?... — Zastanowiłem się. — Nie, nie słyszałem.

— No właśnie. Jeszcze na studiach badaliśmy szczegółowo kilka przypadków, gdy psy zagryzły ludzi. I wie pan co? Za każdym razem okazywało

się, że te „krwiożercze bestie” były wcześniej bite, głodzone albo dręczył je najczęściej pijany właściciel. To prawda, rzuciły się na ludzi, ale doprowadzone do kresu wytrzymałości psychicznej. Mój znajomy miał rottweilera, którego trzymał w kocu. Ulubioną zabawą jego sąsiada było drażnienie psa długim kijem. Za każdym razem, gdy przechodził obok, uderzał nim w siatkę ogrodzenia, doprowadzając Brytana do szału. Kilka miesięcy później rottweiler omal nie oskalpował syna swoich właścicieli. Dalej powie mi pan, że to wina psa? — Patrzyła na mnie wojowniczo.

— Szczerze mówiąc, zupełnie się nad tym nie zastanawiałem, ale z tego, co pani mówi, sprawa istotnie nie jest jednoznaczna — wybełkotalem nic nieznaczące zdanie.

— Niestety, żaden dziennikarz nie zada sobie pytania dlaczego? Najważniejsze, że pies zagryzł człowieka i można to puścić w Wiadomościach na całą Polskę. Niech się naród dowie, jakie to bestie hoduje w domu i na podwórku.

— Z tego, co słyysz, dziennikarze nie należą do pani ulubieńców?

— Z pewnością są w tym zawodzie ludzie bardzo uczciwi i profesjonalni, jednak większość to goniąca za tanią sensacją hołota.

Nie bardzo wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Podziękowałem za kawę, pożegnałem się i pojechałem do domu.

Rozdział III

Tydzień minął niepostrzeżenie i właściwie nic specjalnego się nie wydarzyło. Jak zwykle napisałem kilka krótkich tekstów, zadzwoniłem tam, gdzie trzeba było zadzwonić, spotkałem się z tymi, z którymi należało się spotkać, i umówiłem z ludźmi, którym nie wypadło odmówić. Umiałem zadbać o swoje zawodowe sprawy i chociaż nienawidziłem dniem dniem umizgów i nikomu nie wychodziłem w tyłek, moja kariera układała się nad wyraz pomyślnie. Lubiłem szybkie tempo, szybkie samochodowym bitem stresujące sytuacje, dzwoniące telefony i ściśle wypelniony kalendarz. Podniecało mnie, kiedy coś się działo, nie potrafiłem spokojnie usiedzieć w jednym miejscu. Niesamowicie wciągała mnie ta ciągła pogoń za wszystkim, nawet za kierownicą bez przerw się ścigałem. Mimo że przyjechałem z głębokiej prowincji, w mieście czułem się jak ryba w wodzie. Zdarzało się, że rodzimych warszawiaków

instruowałem, jak mają działać, jak coś zakatwić czy którądy jechać, żeby ominąć korki. Lubiłem wydawać, żeby spełnić swoje zachcianki, i lubiłem zarabiać. Frajdę sprawiał mi zmienianie jak rękawiczki samochodu, a jeszcze większą miny kolegów, którzy widzieli mnie w nowym aucie.

Nie znaczy to wcale, że byłem nowobogackim matolem. Po prostu cieszyło mnie to wielkomięskie, a może i światowe życie, i dlatego z przyjemnością przyjmowałem zaproszenia na wszelkiego rodzaju rauty, wystawy, premiery, benefisy czy jubileusze. Na tych imprezach można się było otrzeć o naprawdę wielki świat. Niemałą satysfakcję sprawiała mi świadomość, że i ja w jakimś sensie do tego świata należałem.

W środę byłem w Victorii na okrągłej rocznicy założenia jednej z komercyjnych stacji telewizyjnych. Jak zawsze na tego typu uroczystości świat wielkiej polityki mieszał się ze światem wielkiego biznesu, dowartościowując się obecnością świata artystycznego, co oznacza, że było tak sztywno i wiało tak cholemną nudą, że nie sposób wytrzymać. Wypiłem dwa kieliszki szampana, zagryzłem łososiem, udało mi się złapać z półmiska szczyptę kawioru i kiedy kombinowałem, jak się niepostrzeżenie wymknąć, zobaczyłem Jacka z dziewczynkami.

Jacek był aktorem i to bardzo dobrym. Znalışmy się od niepamiętnych czasów. Często zdarzało nam się współpracować i polubiliśmy się na tyle, że

przyjaźń z planu przeniosła się na grunt prywatny. Bywaliśmy u siebie na imieninach, czasami wpadalem do nich na daczę, a wtedy całym dniami łowiliśmy ryby. Jego żona Monika — z zawodu psycholog — była niezwykle subtelną i ciepłą kobietą. Filigranowa, zgrabna, z zadartym nosem i wiecznie śmiejącymi się oczyma. Oczytana, inteligentna, ale przede wszystkim chętna, żeby każdemu pomóc.

Była z nimi Marta, również aktorka, grali z Jakiem w jednym teatrze. Skłamałbym, mówiąc, że była brzydka. Zgrabne nogi, szczupła talia, ładny biust, długie włosy, kuszące usta, a w twarzy niewinność dziecka — krótko mówiąc, miała wszystko to, co tygrysy lubią najbardziej. Ale matka natura bywa brutalna i nie ma nic za darmo. Swoją efektowną urodą, jak tylko mogła najlepiej, starała się pokryć niedostatki oleju w głowie i trzeba uczciwie przyznać, że na ogół znakomicie jej się to udawało. Przeważnie facetom na jej widok odbijało, prężyli torsy, stroszyli pióra i rozpoczynali taniec godowy.

Nigdy nie stawiałem z nimi w zawody i nawet cieszyłem się, że jestem na Martę w jakiś sposób impregnowany, choć — jak mówi piosenka — pani Marta była grzechu warta.

Na mój widok Jacek zagał w swoim stylu:

— Gdybym wiedział, że będzie taka stypa, zostalibyśmy w domu.

— Jaka telewizja, taki jubileusz — zazarłowałem. Uściskaliśmy się serdecznie, robiąc przepisowe-

go niedźwiedzia i cmokając się w policzki. Wymieniłem jeszcze kilka uwag na temat okoliczności, w jakich przyszło nam się spotkać. Obgadaliśmy stojącego nieopodal poła, pośmialiśmy się z biznesmena, który jeszcze wczoraj zwiłł połówkę na Stacionie Dziesięciolecia, a dzisiaj był podejrzewany przez prokuraturę o zwinięcie z kasy państwa paru milionów dolarów. Wreszcie podzieliłem się największymi plotkami z tak zwanego życia gwiazd.

Panie taktownie przeprosiły i poszły poprawić urodę, a my zwolnieni z damskiego towarzystwa ruszyliśmy do baru. Kiedy kelner nałnął po drinku, do mikrofonu przemówił prezes, a przy okazji wiściel stacji w jednej osobie. Nie można powiedzieć, żeby był najlepszym mówcą, jakiego w życiu syszaliśmy. To, że nie miał kompletnie nic do powiedzenia, można było wybaczyć — w końcu nie on jeden — niestety, duknął pod nosem, wykonując w naszym zdaniu niewiarygodne łamańce stylistyczne. Ale prawdziwa tragedia się zaczęła, kiedy pan prezes zapragnał pozartować. Nie przesadzę, jeśli powiem, że lekkość jego dowcipu można było jedynie porównać do lekkości czołgu T-54 z dodatkowym wyposażeniem. Nie można się dziwić, że wszyscy obecni słuchali jak urzeczeni, bo nic tak optymistycznie nie nastroja jak widok bliźniego, który publicznie robi z siebie idiotę, czego najlepszym dowodem jest sukces programu Big Brother.

Panie powróciły w wyraźnie lepszych nastro-

jach — ich twarze promieniały — zarzykowałbym nawet, że obie były czymś wyraźnie podniecone.

— Wojtusiu — odezwała się Monika — na początku czerwca wybieramy się w trójkę na Majorkę i już w ubiegłym tygodniu mieliśmy do ciebie zadzwonić z pytaniem, czy byś do nas nie dołączył?

Mówiąc to, porozumiewawczo zerknęła na męża.

— No właśnie — odezwał się Jacek jakby wywołany do tablicy. — Dobrze by było, jakbyś z nami pojechał. Świetny hotel, wygodny leżak, basen albo plaża, coś ci się w końcu od życia należy. Poza tym sam z dwiema kobietami zanudzę się na śmierć.

— To jak? — Monika kuła żelazo póki gorące.

— Na długo?

— Półtora tygodnia — wtrąciła się Marta.

— W sumie mogę pojechać — powiedziałem na półszepnego.

Dziewczyzny z radością przyjęły moją decyzję. Ze zbytnią radością. Coś mi tu nie pasowało. Mogę się założyć, że Jacek o pomyśle, żebym jechał razem z nimi, dowiedział się w tej samej chwili co i ja. Nie muszę dodawać, że był zbyt dobrym aktorem, aby dać to po sobie poznać. Zacząłem podejrzewać w tym wszystkim jakąś babską intrygę. I o ile z całym sumieniem mogę powiedzieć, że byłem impregnowany na Martę, o tyle jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że Marta nie była impregnowana na mnie. Przekonany się na Majorce.

Jak wspominałem, w tygodniu nic specjalnego się nie wydarzyło. Byłem jeszcze w kinie na premierze jakiegoś amerykańskiego kiczu. Dla kogo oni robią te filmy? Właściwie to nawet wiem. Słyszalem wypowiedź amerykańskiego reżysera, który twierdził, że widz, do którego komercyjne kino amerykańskie — a innego przecież nie ma — adresuje swoje produkcje, jest trzynastoletnim czarnym analfabeta. Czarny — tak się złożyło — nie jestem, raczej coraz bardziej szary od papierosów, z moim analfabetyzmem jak najbardziej można dyskutować, ale niewątpliwie na tę hollywoodzką siatkę jestem po prostu za stary.

W niedzielne przedpołudnie siedziałem w fotelu, nadrabiając prasowe zaległości. Niestety w moim fachu trzeba być na bieżąco. Telewizor — jak w milionach polskich domów — grał z przyzwyczajenia sobie a muzom.

Nagle moją uwagę przykuł podawany przez spikerkę komunikat:

— Znalaziono czarną sukę rasy briard. Pies uległ poważnemu wypadkowi i obecnie przebywa na leżeniu w pogotowiu Animals. Wiek osiem, dzięsieć miesięcy. Właściciel proszony jest o kontakt z kliniką.

Następnie na ekranie pojawiło się kilka numerów telefonów kontaktowych.

Minęło siedem dni, a ja prawie zapomniałem o wydarzeniach z ubiegłej soboty. Przez ten czas nawet nie zadzwoniłem, żeby zapytać, jaka jest sytuacja. Z drugiej strony, w końcu to nie mój pies, a i tak mu przecież pomogłem. Mimo wszystko miałem dziwne wyrzuty sumienia. Podniosłem słuchawkę aparatu i wykręciłem numer. W duchu modliłem się, żeby odebrała doktor Maria, nikogo innego tam nie znalazłem. Odebrała. Przedstawiłem się, jej natychmiastowa reakcja świadczyła, że mnie pamiętała.

— Jak to miło, że pan dzwoni.

— Jak tam sunia? — spytałem nieśmiało.

— Dużo lepiej, odzyskała apetyt i nabiera sił. Wprawdzie rany goją się wolno, ale jest systematyczna poprawa.

— To cudownie. Przed chwilą widziałem w telewizji komunikat, znalazł się już właściciel?

— Niestety, jeszcze nie.

Zapadła długa cisza i nie bardzo wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć albo o co zapytać. Ale też głupio było mi powiedzieć do widzenia, czy coś w tym rodzaju, i odłożyć słuchawkę. Sekundy ciągnęły się jak reklamy przed dobrym filmem, a ja milczałem jak grób. „No, wyduś coś z siebie” — mobilizowałem się w myślach. Kretyńską sytuację uratowała pani doktor.

— Panie Wojtku — zaczęła. — Jest pan tam?

— Oczywiście — zapewniłem.

— Jestem w klinice sama, pomyślałam sobie, że może by pan wpadł? Zaparzę dobrej kawy...

— Dlaczego nie — odpartem odruchowo i bez namysłu, uwolniony od dziwnego poczucia winy.

* * *

Kiedy tylko stanąłem w drzwiach, suka uniosła głowę i zamerdota ogonem. Leżała na boku z jedną nogą w gipsie, a drugą obandażowaną. W okplichach żeber miała wygolony plac wielkości dwóch dłoni, a jej szyję zdobiło coś w rodzaju klosza od nocnej lampy, ustrojstwo miało zabezpieczać przed wyrwananiem sobie przez psa szwów. A tył co wyrzywać. Mimo to suka zdawała się promieniować radością. Kiedy ją głaskałem, lizała moją rękę i bez przerwy kręciła młynka ogonem. Nie mogłem uwierzyć, jak stworzenie tak potwornie potłuczone i obolałe, które tydzień temu było na krawędzi śmierci, może mieć w sobie tyle radości? Co zwierzęciu może dawać tyle szczęścia? Może życie? Samo życie? Bez konta w banku, dobrego samochodu, mieszkania albo, jeszcze lepiej, własnego domu, bez wakacji w tropikach, luksusowej narzeczonej, pozycji zawodowej i jeszcze wielu tak zwanych pozornych wyróżników szczęścia. Zwierzę potrafi cieszyć sam fakt istnienia i to jest dopiero prawdziwa radość życia.

Z zamyslenia wyrwała mnie pani doktor.

— Zapraszam na kawę.

Przeszliśmy do małego pokoiku, a właściciel wie wnetki obok gabinetu. Z przyjemnością wbiłem się w wygodny fotel, a pani Maria zdawała relację z postępów w kuracji. Rany goiły się dosyć wolno, co świadczy, że organizm został mocno osłabiony, jednak jeśli kości prawidłowo się zrosną, jest szansa, że pies wróci do pełnej sprawności. Opowiedziała mi, jak ją pielęgnują, jak karmią, jak przekładają z boku na bok, żeby nie zrobiły się odleżyny. Biedactwo nie mogło trafić pod lepszą opiekę.

— Chodźmy na spacer — zaproponowała pani doktor.

— Ale dokąd? — zapytałem asekuracyjnie.

— Tu, na trawnik. Skoro już pan jest, to wnieśmy psinę na świeże powietrze.

— Czemu nie.

Psiśna nie była w stanie sama utrzymać się na nogach, dlatego kucając, podtrzymywałem ją pod brzuchem. Przy mojej pomocy suka zrobiła kilka niepewnych kroków. Powąchała trawę, rozejrzała się na boki i wyglądała na zadowoloną. Kiedy zbliżył się przedchodzień, ostrzegawczo zawarczała.

— Oho. Zaczyna rządzić — zauważyła pani doktor. — I pomyśleć, że nikt nie chce takiego mądrego psa.

— Może do właściciela nie dotarła jeszcze informacja?

— Gdyby zależało mu na psie, już dawno by ją odszukał — skwitowała pani doktor, pozbawiając mnie złudzeń.

— Zaraz, zaraz — nie poddawałem się — przecież każdy rasowy pies ma gdzieś wytatuowany numer.

— W pachwinie.

— To dlaczego po numerze nie możecie dojść do właściciela?

— Bo jest nieczytelny, w tym miejscu sunia ma potwornego krwiała. Nie wiem, czy kiedykolwiek da się go odcyfrować.

— To co z nią będzie? — spytałem z troską w głosie.

— Wystawiliśmy psa do adopcji. Być może jutro przyjdzie przyszły właściciel, żeby ją obejrzeć.

* * *

Wróciłem do domu w podłym nastroju. Cała ta historia z psem działała na mnie bardzo przygnębiająco i postanowiłem już więcej nie pojawiać się w lecznicy. Owszem, to ja go potrafiłem, ale komu normalnemu chciałoby się jeździć, wyprawadzać na spacer, dawać ogłoszenia... Więcej się tam nie pokażę, czułem się absolutnie rozgzeszony.

Żeby poprawić sobie nastrój, włączyłem telewizor. Trafilem akurat na blok reklamowy, z którego się dowiedziałem, że co drugi Polak choruje na

prostatę, a co trzeci ma hemoroidy. Biorąc pod uwagę, że póki co nie dolegało mi ani jedno, ani drugie, istotnie były powody do radości.

Przełączyłem i trafilem na dziwny reality show. Kilku facetów w garniturach zawzięcie dyskutowało, obrzucając się raz po raz błotem. Niestety, mimo wytężenia umysłu nie mogłem odgadnąć, o czym rozmawiają, i to wcale nie dlatego, że mówili wszyscy naraz. Widać nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko, kto kogo przekrzyczy. I dałbym sobie głowę uciąć, że jakiś sprytny reżyser wstawił kamery do domu wariatów, gdyby nie fakt, że wszyscy biorący udział w dyskusji mieli ważne immunitety. Swoją drogą, ciekawe jaki kolor mają immunitety? Stawiałbym na żółty.

Jeszcze do niedawna patrząc na podobny program, szlag by mnie trafił, ale widocznie pod wpływem ostatnich przeżyć pomyślałem tylko: „A pies wam...” i wyłączyłem.

* * *

Karol czekał na mnie w hotelowej kawiarni. Było to stałe miejsce moich spotkań. Sympatyczny lokalik zapewniający ciszę i pewien rodzaj intymności. Jeśli umawiałem się z kimś na miście, to zawsze tutaj. Jak zwykle było prawie pusto, a Karol siedział przy stoliku pod ścianą.

— Witaj, wieczny kawalerze. — Uściskał mi prawicę. — Takiemu to dobrze.

Tknięty nieomylnym przeczuciem zapytałem ostroźnie:

— Coś nie tak z szanowną małżonką?

— Dziękuję, wszystko dobrze.

— To mnie uspokoiłeś.

— Tyle, że się rozwodzę.

— Zwartowałeś, piąty raz?

— Szósty.

— Że też ci się nie znudzi.

— Właśnie mi się znudziła i dlatego się rozwodzę. Wiesz, jaki to kłopot? Rozprawy, adwokaci podział majątku, a jakie koszty.

— Wyobrażam sobie. — Pokręciłem głową, łącząc się z kolegą w bólu.

Karol był mężczyzną niezwykle honorowym, w czasie poprzednich rozwodów opuszczał swoje byłe już małżonki, tak jak stał, czyli goły i w skarpetkach. Zostawiał mieszkania, domy, samochody i pełne konta. Po czym znowu się zakochiwał, budował, meblował, dorabiał, ustawał, inwestując wszystkie siły i środki w nowy związek. Niestety, po chwili znów opuszczał kolejną panią w samych skarpetkach. I tak w koło Maciejju. Podobno są takie ptaki, które z wielkim zapalem odbywają taniec godowy i natychmiast zabierają się do wicia gniazda, ale już składanie i wysiadanie jaj zupełnie ich nie interesuje. I właśnie do tego gatun-

ku należał Karol. Ale, broń Boże, nie był kukułką, która podrzuca innym własne jaja, a już z całą pewnością nigdy nie próbował uszczknąć czegoś na sępa.

W starym układzie czuł się jak czyzyk w klatce, dlatego przeważnie chwytął za ogon przynajmniej dwie sroki. I z tego powodu co jakiś czas wywijał życiowego orła.

— Przemysł to jeszcze — zasugerowałem.

— Co tu myśleć, żenię się i koniec — wypalił

Karol.

— Chłopie, w końcu się zdecyduj, żenisz się czy rozwodzisz?

— Oczywiście się rozwodzę, a właściwie to się żenię.

Zgłupiałem. Na urzniętego nie wyglądał, świrem nigdy nie był, nacpał się czegoś czy co? Parzyłem na niego wzrokiem domagającym się jakiegoś logicznego wyjaśnienia.

— Znaczy, zdecydowanie biorę rozwód.

— To już lepiej.

— Po to, żeby się ożenić — wycedził z uśmiechem.

— Siódmy raz. Gratuluję z całego serca.

— A jest czego. — Nastroszył piórka.

Następnie dosyć malowniczo opisał mi przysłą małżonkę. Z tego, co mówił, stanowią idealne połączenie Sandry Bullock, Claudii Shiffer, Kim Basinger i Pameli Anderson. No, może miała ciut lepszy biust. Intelaktem biła na głowę wszystkie

znane mi noblistki, a fakt, że była od niego o połowę młodsza, nie miał żadnego znaczenia.

Najśmieszniejsze, że trzy lata temu o swojej obecnej małżonce mówił dokładnie to samo.

— Ale zmienimy temat — zaproponował nagle Karol.

— Właśnie — podchwyciłem. — Stary, dzięki za to, co zrobiłeś dla tego biednego psiaka.

— Znalazł się właściciel? — ożywił się.

— Niestety, nie.

— Szkoda. Widzisz — zaczął Karol — kiedy rozmawialiśmy ostatnio, niewiele o briardach wiedziałem, całe życie hodowałem sznaucery. Ale w związku kynologicznym mam kumpla, który zajmuje się tą rasą. Odwiedziłem jego hodowlę koło Milanówka i jestem absolutnie zuroczony tymi psami.

Karol zaczął opowiadać, a ja słuchałem go jak przysłowiowa świnią grzmotu, gdyż o psach wiedział wszystko, a do tego mówił niezwykle ciekawie i z ogromną pasją.

— Początki hodowli briarda giną w mrokach historii. Średniowieczne legendy przedstawiają go jako niezwykle mądrego, wiernego i dzielnego psa. Jedna z nich opowiada o tym, jak ulubiony dworzanin Karola V został skrytobójczo zamordowany przez zazdrosnego rycerza. Dworzanin ów, imieniem d'Aubry, był właścicielem wielkiego płowego briarda. Wierny pies odnalazł grób swojego

pana, pochwycił ślad złoczyńcy, który doprowadził go na dwór królewski. Tam wywęszył podstępnego mordercę i rzucił mu się do gardła. Zbrodnia została wykryta, a Karol V był tak wzruszony wiernością i odwagą psa, że w lesie Bondy postawił mu pomnik. Dzisiejszy briard, czyli długowłosy owczarek francuski, to niezwykle wszechstronny pies. Wykorzystywany jest w policji do obrony i tropienia. Dzięki temu, że świetnie pływa, często jest szkolony do ratowania tonących. W czasie pierwszej wojny armia francuska używała go jako psa sanitarnego i łącznościowego. Doskonale radzi sobie z odnajdywaniem zasypianych osób, potrafi wykrywać narkotyki i ścigać przestępców. Charakter niezwykle zrównoważony, uwielbia dzieci i jest absolutnie oddany rodzinie. Nigdy nie atakuje bez powodu. Jakby tego było mało, jest psem posiadającym niesamowity wdzięk i urodę.

Karol porwał mnie swoją opowieścią. Słuchając go, cały czas widziałem w myślach biedną, połamana sukę leżącą pod kroplówką na niewielkim materacu.

— Z tego, co mówisz, to jakiś chodzący psi ideał — wydukałem wzruszony.

— A żebyś wiedział. — Pokiwał głową Karol.

— Wiesz, ile razy przyjdę do lecznicy, ona mnie rozpoznaje, wita się ze mną jak ze starym znajomym. Nie uwierzysz, ale kiedy tylko wyszła ze śpiączki, polizala moją rękę, dla ciebie to pewnie

normalka, ale ja czułem, jak stado mrówek przelatuje mi po całym ciecie.

— Co z nią teraz będzie? — spytał poważnie Karol.

— Może ją ktoś zaadoptuje, a jeśli nie, to chyba pójdzie do schroniska.

— Szkoda.

— Mnie to mówisz.

* * *

Wróciłem do domu w podłym nastroju. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Chodziłem bez celu po pokoju, odpalając jednego papierosa od drugiego. Myślałem. A właściwie toczyłem wewnętrzny batalię. W końcu nie wytrzymałem i złapałem za telefon. Odebrała żona Karola. Prawdę mówiąc, to się pogubiłem, czy to już była żona czy jeszcze obecna? Zresztą, co za różnica, w końcu każda obecna żona Karola za chwilę zostanie byłą. Najważniejsze, że po chwili słuchawkę przejął pan domu.

— Weź ją! — wypalił bez namysłu.

— Słucham? — Nie bardzo wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do obecnej byłej żony, a może byłej obecnej...

— Weź ją — powtórzył, nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

— Ale kogo? — spytałem.

— Sukę! Weź tego briarda. Przecież dzwoniś do mnie, żeby zapytać, co masz robić.

— Ale... Skąd wiesz?

— Bo znam cię od piętnastu lat i widzę, jak cię to męczy. Bierz ją, przecież tego chcesz.

— Ale... — próbowałem się bronić — przecież ja nigdy nie miałem psa, co tam psa, nigdy nie miałem nawet akwariowej rybki. Karol, stworzenie wymaga, żeby poświęcić mu czas, potrzebuje opieki, fachowego podejścia, a ja nie mam o tym pojęcia, w dodatku nigdy nie ma mnie w domu.

— Nie szukaj usprawiedliwień, chociaż raz przestań kalkulować i zrób to, co dyktuje ci serce.

— A jak sobie nie poradzę?

— Jeśli się zdecydujesz, z mojej strony możesz liczyć na absolutnie każdą pomoc. Wszystkiego cię nauczę. Będę na każdy gwizdek, choćby i w środku nocy.

— Czy ja wiem. — Udawiałem, że się łamię, choć tak naprawdę decyzję podjąłem, zanim podniosłem słuchawkę telefonu, bałem się jedynie jej skutków. — Ta suka chyba rzeczywiście mnie potrzebuje.

— To prawda, ona cię potrzebuje — stwierdził Karol — ale jeszcze bardziej ty potrzebujesz jej.

Wtedy nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, co miał na myśli. Istotnie, nie ona mnie, ale to ja jej potrzebowałem. Jednak po kolei.

Od rozmowy z Karolem nie minęło jeszcze pół godziny, kiedy niczym burza z piorunami wpadłem do pogotowia Animals. Przecisnąłem się obok bernardyna i jego właściciela i ruszyłem w stronę gabinetu. Nie zdążyłem otworzyć drzwi, a już wypaliłem:

— Pani doktor, przyszedłem adoptować psa.

Za biurkiem siedział brodaty facet w okularach i mimo że miał na sobie fartuch, nie przypomniał pani doktor. Co więcej, patrzył na mnie jak na idiotę. Szybko się pohamowałem, przeprosiłem za najście i wytłumaczyłem, o co mi chodzi.

— Przykro mi — odezwał się doktor — ale się pan spóźnił.

— Jak to spóźnił? — Nie bardzo rozumiałem.

W drzwiach pojawiła się moja pani doktor.

— To prawda — powiedziała. — Przed chwilą briarda zabrał cukiernik z Otwocka.

Dwie godziny później znowu byłem pod lecznicą. Zdążyłem wyłączyć silnik, gdy zauważyłem panią doktor, która po skończonym dyżurze zmierzła w stronę samochodu. Mój widok zdecydowanie ją zaskoczył.

— Jeszcze pan tu jest? Panie Wojtku, strasznie mi przykro, że tak się stało. Że też nie mógł się

pan zdecydować trochę szybciej. — Zrobiła zawieszoną minę. — Już wtedy, gdy ją operowaliśmy, pomyślałam sobie, że ten pies powinien być pana, powiem więcej, przywiązałam się do tej myśli. Szkoda...

— Mam ją — powiedziałem, robiąc sprytną minę.

Pani doktor zamieniła się w słup soli i patrzyła na mnie jak na wariata.

— No, mam ją — powtórzyłem.

— Mówi pan o psie? — spytała ostrożnie.

— O tym samym, którym się pani tak fantastycznie opiekowała. Jest w samochodzie.

Nie uwierzyła mi. Niepewnie skierowała się w stronę auta i otworzyła drzwi mercedesa. Na tylnym siedzeniu leżała duża włochata kula, z której wystawał tylko język i merdający ogon. Lekarka przez chwilę głaskała i przytulała briarda, a kiedy się odwróciła, łzy płynęły jej po policzkach.

— Panie Wojtku — domagała się wyjaśnień — ale jakim cudem?

Stałem szczęśliwy jak nigdy dotąd, a gęba śmiała mi się od ucha do ucha.

— Powiedzieliście, że zabrał ją cukiernik z Otwocka, a myśli pani, że ilu jest cukierników w Otwocku?

— Nie mam zielonego pojęcia — wychlipała.

— Słownie jeden. Dwadzieścia minut po wyjściu od was parkowałem u niego pod domem.

— I co, tak od razu oddał panu psa?
— Nie, nie, nie... Najpierw musiałem się sporo nagadać.

— Co mu pan powiedział?

— Prawdę!

— To znaczy?

— Że jak potraciłem psa, to odjechałem, że po dwóch kilometrach zacząłem mieć wyrzuty sumienia, a po pięciu coś kazało mi zawrócić. Opowiedziałem, jak umazany po szyję krwią przyniosłem go do pani gabinetu, jak pomagałem przy operacji, jak z niecierpliwością czekałem, aż się obudzi ze śpiączki. Mówiłem, jaką walkę stoczyłem, żeby przyznać się przed samym sobą, że ten pies jest dla mnie bardzo ważny, mimo że do tej pory starałem się żyć wygodnie i bezproblemowo. Jak lizał moją rękę i jak dzięki niemu inaczey zacząłem patrzeć na świat. Wreszcie powiedziałem, jak bardzo chcę go mieć i jak bardzo się tego boję, ponieważ posiadanie psa wywraca moje życie do góry nogami.

Spojrzałem na panią doktor, płakała. Ostrożnie przytuliłem ją do swojego ramienia, ocierając wolną ręką łzy. Na tylnym siedzeniu mercedesa czarna, włochata kula radośnie zaskomlała.

Rozdział IV

Posiadanie psa kojarzyło mi się do tej pory z jedną wielką udręką. Deszcz czy śnieg trzeba wychodzić na spacer, stworzenie to nie samochód, żeby raz na jakiś czas go zatankować, trzeba je karcić. To z kolei oznacza, że należy kupować mu pożywienie. Nie można gdzieś na dłużej półce, a co dopiero wyjechać. Nie mówiąc, że może zachorować, a wtedy trzeba wędrować po lecznicach. I co tu ukrywać, brudzi i śmierdzi.

Z tym większym zdziwieniem przyjąłem fakt, że briard tak łagodnie i bezboleśnie wszedł w moje życie. Chętnie wychodziłem z nim, a raczej wynosiłem go na spacer. Z wielkim zapałem przygotowywałem „michę”, gotując rosółki, ucierając warzywa i dodając do jedzenia odpowiednich witamin. Cesałem go, zmieniałem opatrunki, obserwowałem, jak goją się rany. A co najważniejsze, robiłem to wszystko z ogromną radością. Nareszcie miałem kogoś, o kogo mogłem dbać, kim

mogłem się zajmować i komu byłem potrzebny. Pies jak nikt inny potrafił to docenić. Kiedy wracałem do domu, cieszył się bardziej niż rencista każdego dziesiątego na widok listonosza. Gdy sta-
wiałem mu pełną miskę, radośnie szczełakał, a kiedy go czesalem, lizał mnie po rękach.

Kiedyś w jakiejś mądrej książce przeczytałem, że to, co się daje, wraca później w dwójnasób. Przekonałem się, że to święta prawda.

Już pierwszego dnia powstał problem imienia. Oczywiście pies musiał mieć wcześniej jakieś imię, ale przecież nie mogłem siedzieć przed nim z encyklopedią, czytać po kolei wszystkie hasła i patrzeć na które zareaguje. Trzeba go było jakoś nazwać. Karol rozwiął moje obawy, że zwierzak nie przyzwyczai się do nowej nazwy. Zobaczysz — mówił — po tygodniu będzie reagował, jakby urodził się z tym imieniem.

I rzeczywiście, reagował już pierwszego dnia, zaraz po tym, jak je wymyśliłem. Sprawa nie była wcale prosta, bo chciałem, żeby pies wabił się godnie i oryginalnie. Po kilku minutach zastanawiania wpadłem na właściwy trop. „Czego — myślałem — zawsze najbardziej brakuje autorowi? Oczywiście dobrej pointy”. A tym sposobem pointę będzie miał zawsze przy sobie. I została Pointa.

Francuski owczarek długowłosy, briard imieniem Pointa.

Kiedy znajomi się dowiedzieli, że mam psa,

przez dom zaczęły mi się przetaczać tłumy. Wszyscy chcieli go zobaczyć, a przede wszystkim przekonać się, że to prawda. Spodziewali się po mnie wszystkiego, że wyskoczę ze spadochronem, wyemigruję do Australii, ożenię się z Joan Collins, albo nawet porwę samolot, ale na właściciela psa pasowałem im, jak nie przymierzając Andrzeja Lepper na przewodniczącego Izby Lordów.

Dziwili się, głaskali, podziwiali, pytali, po cholerę mi ten kłopot, oświadczała, że mnie nie poznają, a przy okazji wypili cały zapas kawy i herbaty, że o bardziej szlachetnych napojach nie wspomnę.

Któregoś dnia zadzwonił Jacek, powiedział, że właśnie są na mieście i gdyby mi nie przeszkadzało, to wpadną za pół godziny. Nie przeszkadzało, co za różnica dwoje mniej czy więcej. Przyjechał z Moniką i Martą, tą nieimpregnowaną — oczywiście na mnie. Odruchowo chciałem prowadzić ich do pokoju, w którym leżał pies, ale Jacek mnie wyprzedził.

— Słuchaj — zagaił — wpadliśmy omówić szczegóły naszego wyjazdu.

— Siadajcie — zaprosiłem gości na sofę i fotele.

Marta usiadła obok mnie.

— Wszystko jest w porządku — kontynuował Jacek — za tydzień jedziemy. Właśnie odebrał mi bilety na samolot. O, ten jest twój. — Położył bilet na blacie ławy.

— Tak, kochani — ożywiła się Monika — jeszcze tydzień i będziemy smazyć się na plaży.

— A później usiądziemy w basenie po szyć w wodzie i będziemy saczyć drinki — dodała Marta.

— Przykro mi, ale beze mnie — wydukałem w końcu.

Nastąpiła konsternacja. Jacek był niezmiernie zaskoczony, Monika zrobiła zdziwioną minę, a Marta wyglądała na pokrzywdzoną przez los. Czując wagę ciężących na mnie spojrzeń, powiedziałem:

— Naprawdę bardzo serdecznie was przeproszam, ale nie mogę pojechać.

— Stało się coś? — dopytywała się Monika.

— Właściwie tak.

— Z rodzicami czy może z bratem? — Jacek miał troskę na twarzy.

— Zachorowali czy jakiś wypadek? — domyślała się optymistycznie Marta.

— Z rodzicami wszystko w porządku, a z bratem jeszcze lepiej.

— To o co chodzi? — spytała Marta wyraźnie zawiedziona.

— Złapałeś jakąś superchaturę? — dociekał Jacek.

— Nic z tych rzeczy.

Towarzystwo patrzyło na mnie z rosnącym oburzeniem, nic z tego nie rozumiejąc.

— W takim razie, dlaczego nie możesz z nami jechać? — zapytała prosto z mostu Monika.

— Chodźcie, to wam pokażę.

Mówiąc to, skierowałem się w stronę drugiego pokoju. Wszyscy jak na komendę ruszyli za mną z rozbudzoną do granic możliwości ciekawością. Z twarzy Marty wyczytałem, że spodziewała się zobaczyć czekającą na mnie w łóżku boginię seksu.

Pies ciągle nie mógł jeszcze chodzić, więc spokojnie leżał na swoim kocyku. Kiedy otworzyłem drzwi, zamerdał ogonem i radośnie zaszczekał.

— Poznajcie Pointę. — Pełniłem honory domu.

— Co to ma być? — nie wytrzymała Marta.

— Francuski owczarek długowłosy. Briard, a wabi się Pointa.

— Śliczny. — Monika zbliżyła się do sukki i pokłaskała zwierzę po głowie.

— Twój? — dopytywał się Jacek.

— Tak.

— A czemu taki poowijany bandażami? — Nie kryła swojej niechęci Marta. — Co mu się stało, wleciał z ostatniego piętra Pałacu Kultury i Nauki?

— Przejechałem go na Katowickiej — przyznałem się.

Jacek z Moniką starali się mnie zrozumieć, niestety, Marta była wyraźnie niepokieszona. Mogę się założyć, że odkreśliła mnie grubą kreską.

* * *

Dni upływały bardzo szybko i wkrótce wydawało mi się, że Pointa była ze mną zawsze. Tydzień temu byliśmy w lecznicy zdjęć gips, doktor Maria wykonała kontrolne zdjęcia rentgenowskie i okazało się, że noga świetnie się zrosła. Szwy ściągaliśmy dwa tygodnie wcześniej, a wygolone miejsca zaczęły już porastać sierścią. Z każdym dniem pies wyglądał coraz lepiej i nabierał formy, a ja przy nim. Dzięki codziennym spacerom powoli odzyskiwałem dawno utraconą kondycję fizyczną i ogólnie czułem się wyśmienicie. Nie pamiętam kiedy ostatnio wpadłem w jakiś psychiczny dół, a wcześniej nieraz mi się to zdarzało. Nie uprawiałem już tak charakterystycznego dla mnie czarnowidztwa ani nie szukałem dziury w całym. Zrobiłem się spokojniejszy, wyluzowany i przynajmniej odrobinę szczęśliwszy.

Kiedy Pointa stanęła na własnych nogach, mój dom jakby ożył. Dotąd zwykle mieszkanie w bloku traktowałem jako sypialnię i miejsce do pracy, ale nie za bardzo lubiłem w nim przebywać. Stąd częste wizyty w knajpach, u znajomych czy weekendowe wyjazdy. Moje M-2 zawsze było ponure, przygnębiające, wręcz obce.

Dzięki Poincie moje cztery kąty zdecydowanie ożyły, zrobiło się w nich ciepło, przytulnie, dom zaczął mieć duszę i chętnie w nim zostawałem.

Ożyłem również ja, a raczej moje wnętrze. Na światło dzienne wydostały się emocje, o których istnieniu nawet nie marzyłem.

Pointa emanowała nieprawdopodobną radością życia, co więcej, zarażała tą radością całe otoczenie. Gdyby psy mogły nosić indiańskie imiona, jak Tańczący z Wilkami, Stojąca z Pięścią czy Kopiający Ptak, nazwałbym ją Niosącą Radość.

* * *

Wkrótce zaczęło mi przeskadzać, że muszę zostawić sukę w domu, i któregoś dnia postanowiłem zabrać ją ze sobą. Okazało się, że pies uwielbia jeździć samochodem, chodzi przy nodze bez smyczy, a na spotkaniach kładzie się obok mnie i dopóki nie ruszę się z miejsca, zachowuje się, jakby go nie było. Mało tego, wszędzie gdzie się z nim pojawiałem, czy to w zaprzyjaźnionych studiach, redakcjach czy w agencjach, robił na wszystkich piorunujące wrażenie. Do tego stopnia, że kiedy gdzieś przyjeżdżałem sam, moi kontrahenci nie kryli rozczarowania, a nawet oburzenia, że nie zabrałem psa.

I tak ani się obejrzałem, Pointa towarzyszyła mi prawie wszędzie. Od początku była niezwykle mądra, a kiedy rany się pogoiły, stała się również przepiękna, ale jak się wkrótce okazało, nie tylko.

Gdy zaparkowałem pod blokiem, było już do-
brze po 23.00. Poszedłem jeszcze z psem na traw-
nik, a kiedy wracaliśmy, pod klatką zatrzymało
mnie dwóch drabów. Byli podchmieleni, agresywni
i wyraźnie szukali zaczepki. Jeden zastąpił mi dro-
gę i robiąc minę bułteriera, zapytał:

— Gościu, masz coś?

— Mam prośbę, panowie — wypaliłem bez za-
stanowienia — usiądźcie sobie na ławeczce, odpocz-
nijcie, bo wyglądacie na cokolwiek zmęczonych.

Cisza, jaka zapadła, świadczyła dobitnie, że nie
takiej odpowiedzi oczekiwali. Pierwszy ocknął się
bułterier.

— Zobacz, Zdzisiu, jaki gostek wyszczekany.

— Te, frajer — zagadnął drugi — na ławeczkę
to my cię możemy zaraz położyć.

Bułteriera musiał ubawić żart kolegi, bo wydat
z siebie ochrypnął bełkot, który odczytałem jako
śmiech, a następnie rozdziawił paszczę, prezen-
tując dwa umiejscowione po bokach kły, z miejsca
zaś, w którym normalnie człowiek posiada uzębie-
nie, zionęło pustką i jakąś nieprzetrawioną berbe-
luchą. Nie muszę dodawać, że od obu osobników
zionęło również pustką intelektualną.

— Zartowniś nam się trafił — kontynuował tam-
ten. — Gościu, mamy okrutnego smaka na wino,
wiesz, co to znaczy?

Niestety, nie wiedziałem, ale z wyjaśnieniami
pospieszył bułterier.

— To znaczy, gościu, że masz wyskakiwać
z kasy.

— To będzie kłopot, bo przy sobie nie mam ani
grosza — kłamałem. — Chyba że zechcą panowie
poczekać do rana, wtedy wybiorę z banku.

Wprawdzie gorzałka już dawno wyprała im mó-
zgi, ale widać nie na tyle, żeby nie mogli odczytać
moich intencji.

— Zdzisiu, on se formalnie robi z nas jaja.

— Frajer, wyskakuj z kasy albo wyląpiesz
w dziób.

— Nic z tego, panowie, nie mam.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się
dość szybko.

— Nie masz, no to masz! — wycedził bułterier
i złapał mnie za ramię.

W tym momencie Pointa była już w powietrzu,
a sekundę później spadła łobuzowi na kark. Bułte-
riera natychmiast ścięło z nóg, a kiedy upadł, pies,
warcząc przerażająco, złapał go za kohnier.

— Zabierz go pan!! Zabierz go pan!!! — dął się
jak oszalały, podczas gdy jego kumpel ze strachu
popuszczał w spodnie.

— Pointa, zostaw!

Pies niechętnie odsunął się nieco, lecz war-
cząc, nie pozostawiał złudzeń, że wystarczy szyb-
szy ruch ręki, a zaatakuje jeszcze raz.

Bulterier zaczął się podnosić w zwolnionym tempie, cały czas zerkając na psa.

— Na żartach się pan nie znasz? — próbował tagodzić sytuację Zdzisiek.

— Ja to się znam, ale widać pies nie bardzo — odpowiedziałem z satysfakcją.

Poszkodowany dragal stał już na nogach i rozcierał obolałe kolano.

— To jak, chłopaki, chcecie jeszcze na wino? — triumfowałem.

— Daj pan spokój — odezwał się bulterier — my w ogóle nie pijemy.

Trudno było mi w to uwierzyć, dlatego wciągnąłem portfel, odszukałem właściwy banknot i podałem go Zdziśkowi, mówiąc:

— Macie, chłopaki, dychę, wypijcie moje zdrowie.

— Dziękujemy panu. — Uskyszałem, wchodząc do klatki.

Rozdział V

Przyszło lato. Coraz częściej wypuszczałem się z psem na dłuższe spacery. Okolice jak najbardziej temu sprzyjała, ponieważ mieszkałem w sąsiedztwie Fortów Bema. Jest to rozległy wojskowy teren o powierzchni kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset hektarów, na którym wybudowano sieć bunkrów, umocnień i magazynów broni. Po roku 1989 jak ^{wszystkie} wiele tego typu obiektów niszczą sobie w najlepsze i nikogo to specjalnie nie obchodziło. Chodziliśmy tam z Pointą prawie codziennie. Uczyłem ją prostych komend, takich jak siad, waruj, zostań. Po kilku dniach nauki dawała nawet głos i aporto-wała. Dwa razy w tygodniu zacząłem biegać. Najpierw skromnie po kilometry, potem po dwa, w końcu z psem przy nodze pokonywałem truchtem pięciokilometrowe odcinki. Ale najważniejsze, rzuciłem palenie!!! Może rzuciłem, to jeszcze za duże słowo, w każdym razie od dwóch tygodni nie miałem papierosa w ustach. Niewiarygodne, nigdy

był nie przypuszczał, że wytrzymam chociaż dzień. Uwiłbiałem palicę. Znajomi nieraz zwracali uwagę, że robię to z takim smakiem i oddaniem, iż patrząc na mnie palącego, nawet święta osoba ma ochotę sięgnąć po papierosa. Toteż nic dziwnego, że wypalałem dwie i pół albo trzy paczki dziennie.

Rzuciłem natychmiast, tak jak wyzwolone kołbiety rzucają swoich facetów. Rzuciłem jednego dnia. Wstałem rano z absolutnym przekonaniem, że zmieniam swoje życie i nie jutro, nie za tydzień, nie od imienia, od sylwestra czy po świętach. Zmieniam natychmiast.

Nie będę ukrywał, że pierwszy tydzień bez papierosa był cholernie ciężki i to nawet nie dlatego, że chciało mi się palić. Mój organizm odstawiony nagle od nikotyry doznał prawdziwego szoku. I mniejsza o objawy fizyczne, bo one jeszcze były do zniesienia. Najgorsze było to, co się działo w mojej głowie. Byłem jak bomba, która w każdej chwili grozi wybuchem. Denerwowało mnie wszystko i wszyscy. Na Bogu ducha winnych bliźnich reagowałem agresją i chyba tylko cudem nikt go wtedy nie zabiłem.

Żeby pozbyć się natogu, nie wystarczy go jedynie odstawić, bo prędzej czy później, a raczej prędzej niż później i tak się do niego wróci. Leczenie skutków nic nie da. Człowiek musi dojść do przyczyn, czyli zastanowić się, dlaczego żyje tak, a nie inaczej. Musi się zmierzyć z własnym opo-

rem, lenistwem i niechęcią do zmian. Musi znaleźć motywację.

Postanowiłem doprowadzić się do kultury — na początek fizycznej. Rozpocząłem od porannej gimnastyki, spacerów i biegania. Pomyślałem również o zmianie diety, a raczej o zwróceniu uwagi na menu, ponieważ do tej pory jadłem byle co, byle jak i byle kiedy.

Przeczytałem gdzieś, że życie zawsze nas wspiera, wystarczy tylko dać mu szansę. Widocznie dałem, bo jak na zamówienie zadzwonił Komandos i zapytał, czy może wpaść. Niepotrzebnie pytał, gdyż należał do tych kilku bliskich mi osób, które mogą do mnie wpaść, wpaść i robić, co im się żywnie podoba.

Komandosa znalazłem już piętnaście lat. Przez krótki czas mieszkaliśmy w internacie, jak to się mówi „koi w kojo”, i przyjaźń została na lata. Czasem wiaywaliśmy się częściej, czasem rzadziej, nigdy jednak nie traciłszy kontaktu. Znalśmy się jak tyse konie, i to wcale nie dlatego, że Komandos był tysy, czy raczej golił głowę zgodnie z ostatnio panującą modą. Miał może metr siedemdziesiąt, a patrząc na jego posturę, odnosiło się wrażenie, że jest to chłopak do bicia. Ale niejeden się przekonał, że jest to raczej chłopak od bicia. Komandos był trenerem karate, posiadał tytuł mistrzowski i drugi dan.

Kiedy otworzyłem drzwi, przybliżył starym zwyczajem piątkę, a później Komandos zapytał:

— No jak tam, braszku?

— W porządku. A u ciebie? — próbowałem się zrewanżować.

— Spoko.

— Rzuciłem palenie — pochwaliłem się jak sztubak.

— To może jeszcze z ciebie będą ludzie.

Komandos oczywiście nie palił. Zawsze imponował mi siłą charakteru. Dbał o siebie, zdrowo żył, dobrze się prowadził — nie to co ja.

— Dobrze się składa — kontynuował Komandos. — Co robisz w lipcu?

Pytanie mnie zaskoczyło, a że nie musiałem przy nim niczego wymyślać, odpowiedziałem prosto:

— Nic.

— I bardzo dobrze, braszku. Jedziesz ze mną na obóz.

— Na jaki obóz? — Zrobiłem zdziwioną minę, a w myślach widziałem już harcerskie mundurki, wojskowe namioty i poranne apele z flagą na maszcie.

— Jak to na jaki? — Puknął mnie lekko w ramię. — Jedziemy na obóz karate trenować małolatów.

Komandos jak co roku w wakacje wyjeżdżał ze swoimi karatekami na dwa tygodnie nad jezioro. Zabierał ponad osiemdziesięciu urwisów w wieku od sześciu do dwudziestu sześciu lat i był zupełnie

sam, ponieważ szanowna małżonka miała niebawem urodzić mu potomka i, co zrozumiałe, bardziej skupiała się teraz na macierzyństwie niż obywatelskich wyjazdach. Kumpel potrzebował pomocy, żeby cały ten paszтет ogarnąć, a ja potrzebowałem jakiegś odmianny.

Kiedyś trenowaliśmy razem. Oczywiście nigdy nie byłem tak dobry jak Komandos, który z początkowej fascynacji sztuką walki uczynił swoją profesję i świetnie się w tym realizował. Może znów zacznę trenować? W każdym razie na pewno trochę się rozruszam. Nie było się nad czym zastanawiać, a upewnivszy się, że mogę zabrać psa, odpowiedziałem krótko:

— Jadę, braszku. Tylko ostrzegam, forma mi zwiększa i żebyś później nie narzekał, że cię poobi-
jątem.

Przez ciwa gęba Komandosa wykrzywiła się w szczerym uśmiechu.

— Będę omijał cię dużym kołem — zapewnił.

* * *

Jak za dawnych dobrych czasów znowu mieszkaliśmy w jednym pokoju. Z balkonu widać było od-
dalone jakiegś siedemdziesiąt metrów jezioro. Osrodek pamiętał jeszcze czasy bylej epoki i mimo że nie prezentował się zbyt okazale, było tu kameralnie i całkiem przytulnie. Woda w jeziorze czysta

i ciepła, ładny pomost, wypożyczalnia sprzętu pływającego i pogoda, która według przepowiedni starych górali z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej miała być jak drut. Słowem zapowiadaty się bardzo przyjemne wakacje.

Na trzeci dzień umierałem. Przed śniadaniem trening w lesie, przed obiadem trening na sali, po kolacji trening nad jeziorem. Musiało mi niezłe paść na mózg, skoro dałem się namówić na taką imprezę. Po dziesięciu latach fizycznego lenistwa kierat, w jaki wpadłem, był nie do wytrzymania. Bolały mnie wszystkie mięśnie i kości. Nie byłam w stanie chodzić po płaskim terenie, a na wprost schodów oblewał mnie zimny pot. Co więcej, miałem nieodparte wrażenie, że mój organizm składa się wyłącznie z kwasu mlekowego. Nie pomagały żadne masaży ani okłady, z doświadczenia wiedziałem, że trzeba było przetrwać.

Czwartego dnia poczułem się lepiej, ciało zaczęło mnie słuchać. Coraz bardziej precyzyjnie wykonywałem dawno zapomniane techniki i uderzenia. Szybko przypomniałem sobie japońskie nazwy kopnięć i bloków. Możliwie powtarzałem kata, stając się zapamiętać nowe ruchy. Dla rozluźnienia zaczęłam nawet pływać w jeziorze. Dawniej uwielbiałem wodę i każde wakacje bez względu na pogodę spędzałem nad jeziorem lub nad morzem. Dopiero wielkomiejskie życie zabili we mnie ten nawyk. Na szczęście umiejętności pływania się nie

zapomina i nawet po długiej przerwie trzeba jedynie popracować nad kondycją. Dlatego pracowałem. Nie sam. Pomagała mi Pointa. Okazało się, że uwielbia wodę i świetnie pływa. Początkowo pływałem blisko brzegu, ale kiedy się zorientowałem, że pies ma kondycję dużo lepszą ode mnie, zaczęliśmy wypuszczać się w jezioro. Było śmiesznie, bo mijani żeglarze byli zupełnie zdziwieni widokiem psa na środku jeziora. Tych bardziej sympatycznych pozdrawiałem, machając ręką, a Pointa na komendę dawała głos.

* * *

Po raz pierwszy w życiu byłem wychowawcą małolatów. Młodzi adepti karate tytułowali mnie *sempai*, co oznacza starszy uczeń, instruktor. Tytuł *zobowiązywał* i niejednokrotnie musiałem dawać świadectwo, że na niego zasługuję. Pierwszego dnia obozu usłyszałem pukanie do drzwi.

— Wejść! — krzyknąłem, nie ruszając się z łóżka. W drzwiach pojawił się dziewięcioletni Tomek, stanął tuż za progiem, złożył ceremonialny ukłon i piskliwym głosem krzyknął:

— *Ossi! Sempai.*

Tym, którzy nie mieli przyjemności uczestniczyć w treningu karate, wyjaśniam że adeptci sztuk walki nie mówią trenerowi na dzień dobry „dzień dobry”, ani tym bardziej „jak leci”, tylko wykrzy-

kują zdecydowane *Ossi*, wyrażając w ten sposób szacunek, a także gotowość oddania się pod skrzydła przełożonego.

— *Ossi*! — odpowiedziałem. — Co jest, Tomek?

— *Sempai* — zaczął niepewnie chłopak — *Kamil* powiedział, że Tadek jest głupi.

— Kości! — wrzasnąłem na cały pokój.

Kości to komenda, po której nieszcześnik musi przyjąć postawę jak do robienia pompki, tyle że zamiast na całych dłoniach podciera się na pięściach. Tomek był zupełnie zaskoczony, ale zbyt dużo czasu spędził w sekcji u Komandosa, aby nie wiedzieć, że z *sempai* się nie dyskutuje. Błyskawicznie padł na podłogę, przyjął postawę i czekał na dalsze komendy.

— Jedziesz dwadzieścia pompki — rzucił *sempai*, znaczący się ja.

Tomek z niedowierzaniem zaczął pompować, licząc głośno po japońsku. Kiedy dobrnął do dwudziestu, rzuciłem komendę:

— Wstań!

— *Oss* — wykrztusił zgodnie z zasadami Tomek.

— *Oss* — odpowiedziałem. — Wiesz, za co pompowałeś?

— Nie. — Tomek przyglądał mi się ze zdziwieniem.

— Kości! — powtórzyłem. — Dwadzieścia.

Kiedy skończył drugą dwudziestkę, pozwoliłem mu wstać.

— Wiesz, dlaczego pompowałeś? — spytałem łagodnie.

Widać perspektywa kolejnych dwudziestu pompki była wystarczającym bodźcem, żeby Tomek zaczął myśleć, bo bez zawahania odpowiedział:

— Wiem.

— Dlaczego?

— *Sempai* kazał mi pompować, bo przyszedłem skarżyć.

— Dobrze. Skarżypytwo to bardzo nieładna cecha. Będziesz pamiętał?

— *Ossi*! *Sempai*.

— Ciesz się. Dziękuję, Tomek, to wszystko.

— *Ossi*!

— *Ossi*!

Do końca obozu już nikt nie przyszedł, żeby poskarżyć na kolegę. Powiem więcej, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu problemy wychowawcze wcale nie istniały. Obsługa ośrodka była prawdziwie zdziwiona, bo jak mówili, tak zdyscyplinowanej i spokojnej młodzieży nigdy u nich nie było.

I bynajmniej nie była to kwestia rzucania na kości.

Komandos absolutnie mnie zaskoczył. Mimo że znaliśmy się od zawsze, dopiero na obozie odkryłem cechy jego osobowości, o których nie miałem pojęcia. Trzymał dyscyplinę, dawał w kość, na treningach był wymagający, czasem nawet surowy, a mimo to jego uczniowie patrzyli w niego jak w ob-

raz. Darzyli go ogromnym szacunkiem i zaufaniem, zdarzało się, że nie słuchali rodziców, ale to, co powiedziały *sensei*, było święte. Nieraz byłem świadkiem sytuacji, gdy strapiiony rodzic prosił: „Panie Robercie, niech pan powie Grzesiowi, żeby się wzięł za angielski”. Albo: „Panie Robercie, niech pan porozmawia z Jarkiem, żeby pojechał z nami nad morze”.

Drzwi w naszym pokoju nie zamykały się od rana do późnego wieczoru, bo kiedy mieli potrzebę, mogli do niego przyjść z problemem czy poprosić o radę. I przychodzili. Komandos zawsze miał dla nich czas, słuchał, radził, pomagał. Był im bez reszty oddany, a oni go uwielbiali. W obecnych czasach, kiedy pogrzebano już wszelkie autorytety, on był i jest dla nich prawdziwym mistrzem.

Przekonałem się, że dzisiejsza młodzież wcale nie jest zła. To nie są rozwydrzone bachory, które terroryzują całe otoczenie, bo z dobrobytu przewróciło im się w głowach. To nie mali egoiści skupieni wyłącznie na konsumpcji, dla których nie liczą się żadne ideały, a liczy się tylko kasa. Dzisiejsza młodzież to wrażliwi zagubieni ludzie, kompletnie przytłoczeni tempem, w jakim pożera ich cywilizacja sukcesu za wszelką cenę. Ktoś wrzucił ich do kolejki, która pędzi tak szybko, że nawet nie mają czasu się zastanowić, gdzie i po co jada. To właśnie oni bardziej niż ktokolwiek potrzebują drogowskazów, autorytetów i mistrzów. Tylko że bycie autorytetem wcale nie jest takie proste. Trze-

ba czasu, cierpliwości, oddania. Trzeba wysłuchać, zrozumieć, poradzić. A przede wszystkim trzeba coś sobą reprezentować. Jakże łatwiej kupić gameboya, komputer, komórkę czy parę innych gadżetów. I niech się dzieciak odcepi.

* * *

Najstarsi uczniowie Komandosa trenowali u niego ponad dziesięć lat. Kiedyś od czasu do czasu wpadałem na trening, dlatego znałem ich od dziecka. Pamiętałem, jak mamy przyprowadzały na zajęcia smarkatych siedmio-, ośmiolatków. Dzisiaj byli to dorośli ludzie. Prawie wszyscy studiowali, uczyli się języków, byli inteligentni, ocytani i świetnie radzili sobie w życiu. Wyróżniało ich jeszcze jedno — szacunek, jakim darzyli drugiego człowieka, a zwłaszcza starszych. Muszę w tym miejscu opowiedzieć historię, która choć niepozorna, rzuciła mnie na kolana.

Któregoś dnia po kolacji wybrał się z Tadziem na spacer. Tadek był instruktorem, posiadał pierwszy dan i często jeździł z Komandosem na obozy. Mimo że dobiegał pięćdziesiątki, prezentował niewiarygodną formę i kondycję. Patrząc, jak ćwiczy, marzyłem, żeby będąc w jego wieku, zachować choć połowę tej sprawności. Poza tym Tadzio był świetnym kumplem i czas spędzony w jego towarzystwie był zawsze prawdziwą przyjemnością.

Przechodząc obok przydrożnego barku, zauwa-

żyliśmy, że przy stoliku siedzi kilku starszych uczniów. Wszyscy jak jeden mąż złożyli nam ukłon, akcentując go zwyczajowym *Ossi!* Jeden z chłopaków stanął przed Tadzkiem i zapytał:

— *Ossi! Sensei.* Czy możemy napić się lekarstwa na zakwasy?

Powiem szczerze, że nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi. Tadek widać lepiej kojarzył, bo bez zastanowienia skwitował:

— Jedno piwo na zakwasy jest bardzo wskazane, a wręcz konieczne.

— *Ossi! Sensei* — podziękował chłopak.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Powiedział, czy często widzieliście, żeby ponaddwudziesięcioletni facci grzecznie pytali, czy mogą się napić piwa?

Zazdrościłem Komandosowi. Przez killkanaście lat pracy stworzył — jak na dzisiejsze czasy — coś zupełnie wyjątkowego. Nie miałem wątpliwości, że był prawdziwym mistrzem. A co ja zrobiłem w tym czasie? Napisałem trochę lepszych lub gorszych tekstów, zrealizowałem trochę programów, w kilku wystąpiłem. Jakie to miało znaczenie? Że zarobiłem parę groszy?...

* * *

Popołudniami pływałem z Tadzkiem do Holendra. Pakowaliśmy się razem z psem do kajaka i wiosłowaliśmy na drugą stronę jeziora.

To był prawdziwy latający Holender. Przyjechał z Amsterdamu, kupił stary peerelowski ośrodek wypoczynkowy, wyremontował go, otworzył knajpę i przyjmował gości. Lokal robił wrażenie skansenu, gdyż znajdowało się w nim mnóstwo przedmiotów codziennego użytku sprzed stu lat. Były tam stare żelazka, świeczniki, lampy naftowe. Były zabawki maszynowe do szycia, widły, grabie i kosy pamiętające chyba Kościuszkę. Cichość tworzyła niezwykle ciepłe i przytulne wnętrze. Czasami tak jest, że wchodząc gdzieś, czujemy się fantastycznie, spada z nas całe napięcie i poddajemy się urokowi miejsca. Tak właśnie było u Holendra. Siedząc tam, miałem wrażenie, że czas nie tyle się zatrzymał, ile w ogóle nie istnieje. Sącając piwo z sokiem, słuchałem Tadzka, który poza tym, że był ekspertem od sztuki walki, świetnie znał kulturę i filozofię Dalekiego Wschodu. Był prawdziwym bankiernem sentencji, maksymym i powiadeń mistrzów walki czy medytacji i przytaczał je stosownie do okoliczności.

— Kiedy zaczynałeś? — spytał Tadek.

— W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych.

— Przyszedeś do sekcji po tym wielkim zamieszaniu, jakie wywołał Bruce Lee?

— Właśnie nie. Zacząłem trenować wiosną, a *Wejście smoka* pojawiło się na ekranach latem.

— Wracałem myślami do tamtych czasów. — Chodziłem do małej sekcji w powiatowym miasteczku.

— Trenowałeś shotokan?

— Kyokushin.

Rozmawialiśmy o dwóch stylach, które w owym czasie były najbardziej znane. Shotokan stworzył Gichin Funakoshi po przybyciu do Japonii. Wcześniej uczył się u kilku mistrzów na Okinawie, by w efekcie połączyć różne techniki w spójny i prosty system walki. Wielką zasługą Funakoshiego było ponadto, że przygotował dla sztuki walki podbudowę filozoficzną. Do dziś shotokan uważany jest za karate duchowe. Kyokushin stworzył Oyama, który swego czasu zastąpił, walcząc z bykami. Jego karate było dużo bardziej kontaktowe i siłowe.

— To było totalne szaleństwo. Na *Wejściu smoka* byłem chyba z siedemnaście razy. Kiedyś przemyciłem do kina magnetofon i ścieżkę dźwiękową nagrałem na kasetę. Kumpie zabijali się o to nagranie.

— Tak... — uśmiechnął się Tadeusz. — Wszystko, co dotyczyło Bruce'a Lee, było na wagę złota. Sprzedawałem w sekcji plakaty, szły jak ciepłe bułki.

— A ja miałem znajomego fotografa. Poszliśmy do niego z bratem ze zdjęciem idola, a on zrobił nam kilkadziesiąt odbitek. Sprzedając je, zarobiliśmy na worek i rękawice.

— Na letnim obozie — ciągnął Tadzio — zdałem na instruktora i od jesieni samodzielnie mia-

łem prowadzić treningi. Przychodzę we wrześniu do sekcji, a tu czeka kilkaset osób...

Doskonale go rozumiałem. Po tym jak ten nieprawdopodobny film zagościł na ekranach kin, kto żyw chciał trenować karate. Pamiętam, jak do mojego klubu, w którym ćwiczyło dwadzieścia, może trzydzieści osób, przyszło kiedyś około trzystu. To był prawdziwy koszmarny, bo nijak nie sposób było pomieścić się na sali i bez przerwy ktoś kogoś trącał, szturchał, następował. Nierazadko ktoś dostawał po głowie, nie wiedząc dlaczego i od kogo.

Na opanowanie tej sytuacji istniała tylko jedna metoda, należało pokazać, czym tak naprawdę jest sztuka walki. Podstawą karate są wielogodzinne żmudne, hartujące ducha i ciało ćwiczenia, często ponad granice możliwości. I w tym czasie trenerzy mieli wszystko, żeby świeżym adeptom jak najbardziej ostudzić ten zapal. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Na kolejny trening przyszła już polowa, a na następny niecałe sto osób. Duch w narodzie jak szybko urósł, tak szybko zdawał się słabnąć. Mniej więcej po miesiącu sytuacja wróciła do normy i z trzystu ludzi, którzy przewinęli się przez sekcję z zamiarem zostania Bruce'em Lee, zostało... dwóch.

Całe to zamieszanie miało również i dobre strony. Większość moich rówieśników, jeśli nie wszyscy, przynajmniej raz uczestniczyła w zajęciach i na

własnej skórze mogła się przekonać, czym jest prawdziwy trening karate. Nie byli go w stanie wytrzymać ani fizycznie, ani psychicznie. Pewnie dlatego o mnie — regularnie dwa razy w tygodniu jeździłem do sekcji — powstały legendy, jaki to jestem twardy i czego to nie potrafię.

— Ech... to były czasy — westchnąłem.

— Machali u ciebie kijami? — zapytał Tadzio, mając na myśli nunchaku.

Chyba nie ma sensu tego tłumaczyć, ale gdyby ktoś nie wiedział, nunchaku to tradycyjna broń chińska, a mówiąc obrazowo, dwa kije połączone krótkim rzemieniem lub łańcuchem. W połowie lat osiemdziesiątych było to podstawowe wyposażenie niemal wszystkich znanych mi nastolatków. Chodziliśmy z tym wszędzie, a zwłaszcza do dyskoteki. Nie była to zabawka zbyt bezpieczna, chociaż najczęściej chłopcy robili nią krzywdę samym sobie w czasie treningów.

Nunchaku może być bardzo niebezpieczne, na szczęście w moim rejonie nigdy nie doszło do żadnego incydentu, chociaż, jak mi mówiono, w Polsce zdarzały się wypadki śmiertelne. Do dzisiaj pozostała mi z tych szczenięcych lat dosyć duża wprawa w posługiwaniu się tą bronią.

Zamówiliśmy po drugim piwie. Tadek podjął kolejną ze swych fascynujących opowieści. Słuchałem go, nie myśląc o niczym, i dawno nie było mi tak dobrze.

Rozdział VI

Dwa tygodnie minęły błyskawicznie. Wróciłem do domu dziwnie odmieniony i nie wiedzieć czemu, po prostu szczęśliwy. Pamiętam, jak wiadomy generał w stanie wojennym mówił: „Partia ta sama, ale nie taka sama”. Parafrazując, wróciłem z obozu ten sam, ale nie taki sam. Byłem spokojny, wyciszony i zadowolony. A ponadto nabrałem dystansu do siebie i rzeczywistości.

Na obozie nie mieliśmy nawet radia i nie miałem pojęcia, co się dzieje na bożym świecie. Żeby nadrobić cywilizacyjne zapóźnienia, w kiosku pod blokiem kupiłem kilka gazet, zaparzyłem herbatę i zasiadłem przed telewizorem z zamiarem obejrzenia Wiadomości.

Zaraz po czółowce popularna spikerka z ogromnym wysiłkiem malującym się na twarzy podała tematy dnia. Zawsze podejrzewałem, że ten wysłək wywnika z faktu, że za wszelką cenę próbuje zrozumieć to, co czyta.

Prezenterka zaterkotwała jak karabin maszynowy:

— Pod Toruniem czterastoletni chłopcy zamordowali o rok młodszego kolegę.

— W Podkarpackiem zboczeniec zgwałcił, a następnie brutalnie zakatował młodą kobietę. Policja ustala portret pamięciowy sprawcy.

— W Poznaniu czterech zamaskowanych napaścików sterroryzowało bronią obsługę banku i okradło sejf.

— Pod warszawskim hipermarketem wybuchł samochód pułapka. Zginął kierowca, którym był znany policji Wacław K., pseudonim Gilotyna, powiązany z mafią wołomińska.

— W okolicach przejścia granicznego w Zgierzelu nieznanymi sprawcy zastrzelili dwóch policjantów.

I tak dalej, i tak dalej. Kiedy zacząłem mieć wątpliwości, czy oglądam Wiadomości czy Kronikę kryminalną, jako piętnastą informację podano, że premier gościł z wizytą we Francji. Wyłączyłem, mając pełną świadomość, że co nie płacę abonamentu.

Rozłożyłem szanującą się gazetę i na pierwszej stronie przeczytałem:

— Prawicowy poseł zamieszany w handel narkotykami i kradzionymi samochodami.

— Lewicowy poseł odmówił dmuchnięcia w alkomat. Policjanci drogówki są przekonani, że gdyby parlamentarzysta nie zasłonił się immunitetem, mieliśmy nowy rekord świata.

— W warszawskiej restauracji nieznanymi mężczyzną wykonano wyrok na kolegach z konkurencyjnego gangu.

— Wyrodna matka zleciła utopienie własnego dziecka.

— Prokurator wojewódzki podejrzany o korupcję.

— Afera w urzędzie celnym. Przez nieuczciwych celników skarb państwa stracił 40 milionów złotych.

Byłem zdruzgotany. Wyjechałem tylko na dwa tygodnie i w tym czasie świat kompletnie zwariował. Dookoła tylko gwałty, morderstwa, kradzieże i przekręty. W całym Wiadomościach i w całej gazecie nie natrafiłem na ani jedną dobrą informację. Ani słowa czy choćby jednej linijki o tym, że komuś coś się udało, że poszło dobrze, że ktoś jest zadowolony albo usmiechnęło się do niego szczęście. Wszędzie gwałty, napady, rozboje.

Coś nie dawtało mi spokoju i z budzącą się podejrzliwością zacząłem grzebać w stercie makulatury. Odszukałem gazetę sprzed dwóch miesięcy, spojrziałem na pierwszą stronę, a tam: gwałty, napady, rozboje, zabójstwa, kradzieże. Grzebałem dalej, dokopując się wkrótce do prasy sprzed pół roku i włos zjeżył mi się na głowie: wyłącznie morderstwa, gwałty, afery, strzelaniny, kradzieże.

Kiedy ostatecznie się przekonałem, że przez ostatnie dwa tygodnie, miesiące, a nawet lata w me-

diach nie zaszła żadna zmiana, zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że wcześniej tych wszystkich gwałtów, rozbojów, kradzieży i przekrętów nie widziałem? Czy ten ciągły medialny atak agresji i kaptaklizmu aż tak bardzo mnie uodpornił? Czy po padłem w taką znieczulicę, że stało się to dla mnie normalną?

Dlaczego sto razy dziennie trąbią na cały kraj, że patologiczna matka utopiła syna, a nie pokażą normalnej szczęśliwej rodziny — jakich wiele — której urodziło się zdrowe dziecko? Zdrowe dziecko i szczęśliwi rodzice mogą zaistnieć w mediach tylko w jednym przypadku, jeśli matka urodzi się ścioraczki.

Skąd się bierze ten pęd ku brutalności, chamsztwu i agresji? Już widzę, jak zwolennicy wolności krzyczą, że rolę i powinnością wolnych mediów jest informować. Ale czy ta powinność dotyczy tylko informowania o rzeczach złych? Wiem, wiem, zło jest fotogeniczne, a ludzie uwielbiają się bać. I rzeczywiście coraz bardziej boją się wychodzić z domu. I trudno się dziwić, przecież jeśli młody człowiek obejrzy któregoś dnia kilka serwisów informacyjnych, przeplatanych kroniką kryminalną czy 997, to nie ma wyjścia, musi kogoś zabić. I tak w dzisiejszym świecie wygląda kulturotwórcza rola mediów. Dowiadujemy się z nich wyłączenie tego, w jaki sposób bliźniego uśmiercić, czego się bać i najważniejsze, co kupić. A kiedy słyszę o misji te-

lewizji, to spoglądając od czasu do czasu w ekran, mam nieodparte wrażenie, że jest to wyłącznie seksmisja. Dlatego nawet mnie nie dziwi, że dla niektórych szefów stacji media publiczne i domy publiczne to to samo.

* * *

Niedługo po moim przyjeździe zadzwonił Karol.

- Żenię się — piał z radości.
- Z tego, co pamiętam, miałeś brać rozwód?
- I wzięłem — krzyczał z entuzjazmem do słuchawki. — Wzięłem! Wyobraź sobie, że za porozumieniem stron skończyło się na jednej rozprawie.
- Przyjmij moje serdeczne gratulacje.
- Dziękuję, bo jest za co. Wojtuś, teraz poważnie za dwa tygodnie będzie mój ślub. I mam nadzieję, że już tradycyjnie obejmiesz rolę wodzireja.
- Nie wiem, czy podolał — rzuciłem skromnie.
- Ty nie podolaasz? Ile razy na moich weselach byłeś wodzirejem?
- Trzy albo cztery — nie mogłem się doliczyć.
- Kochany, to masz wprawę, żeby nie powiedzieć rutynę.
- Postaram się — zapewniłem, wiedząc, że się nie wyłgam.
- A tak w ogóle — spytał z oburzeniem Karol

— to gdzie ty się podziewasz? Dzwonię i dzwonię... Nawet komórki nie odbierasz.

— Byłem na obozie.

W słuchawce usłyszałem szyderczy śmieszek.

— Ty, harcerz, przestałbyś już latać w krótkich spodenkach, może byś się w końcu ożenił.

— Zdażę.

— No, nie wiem. Chłopie, masz na karku trzy i pół dychy, podlotkiem już nie jesteś. Czekał, a może ty jakiś pierdołowały... Chcesz, to stary kumpel znajdzie ci narzeczoną, że do rany przyłoż.

— Poradzę sobie.

— Też tak myślałem, ale szczerze mówiąc, nie do to widzę.

— Trzymaj się.

— Cześć.

* * *

Karol uświadomił mi obiektywną prawdę, że byłem starym kawalerem. Co więcej, mimo trzydziestu pięciu lat nie pamiętam, żeby jakaś pani wprowadziła się do mnie choćby na tydzień. Owszem, zdarzało się, że byłem w jakimś związku. Czasem trwał on dłużej, innym razem rozpadał się po miesiącu. Nigdy jednak nie było to nic tak poważnego, żebym chciał radykalnie zmieniać swoje życie. Byłem klasycznym samotnym wilkiem z wyszczerbionymi już odrobinę kłami.

Szczerze mówiąc, kobiety zawsze były dla mnie jak istoty z innej planety — zgodnie z teorią, że mężczyźni są z Marsa, a niewiasty z Wenus — i może dlatego nigdy nie starałem się ich zrozumieć. Zamiast tego, już dawno wypracowałem sobie coś w rodzaju instrukcji obsługi, która światem nie sprawdziła się w praktyce, przynajmniej na koleżankach z branży.

Zgodnie z instrukcją, żeby kobieta czuła się przy tobie spełniona i szczęśliwa, musisz przynajmniej piętnaście razy dziennie zapewnić, że ją kochasz. Poza tym przy każdej okazji masz się zachwycać jej urodą. Jeśli dwadzieścia razy w ciągu doby powtórzysz: „Jaka jesteś piękna”, to ona z radości gotowa jest się rozplynąć, i to w ustach, a nie w dłoni.

Sprawdzonym patentem jest mówienie, że dziewczyna wygląda dużo piękniej niż wczoraj. I chociaż wczoraj widziałeś ją w balowej sukni, a dzisiaj w dresie, bez makijażu, obierającą ziemniaki — uwierz. To niewiarygodne, ale uwierz i, co najważniejsze, doceni swoją szczerość.

Kobiety bywają bardzo przebiegłe, dlatego musisz uważać na to, co mówisz, właściwie dobierać słowa, ale przede wszystkim nie możesz dać się wmanewrować w podchwytliwe pytania. Postaram się to zobrazować na przykładowej wagi. Jak wiadomo, waga jest urządzeniem, które prawie każdej kobiecie spędza sen z powiek. Kiedy więc

ona pyta: „Kochanie, bardzo przytyłam?”, to choćby darsi z ciebie pasy, broń Boże nie mozesz potwierdzić. I chociaż gołym okiem widać, że przybyło jej dziesięć kilogramów, spokojnie odpowiadasz: „Nie wydaje mi się. Raczej mam wrażenie, że nawet ociupinkę schudłaś”.

To ją odrobinę pocieszysz, ale równocześnie zapali się u niej kontrolka i chceć się upewnić, że nie zar-tujesz, zaatakuję: „Jeśli nie przytyłam, to dlaczego nie wchodzę w żaden kostium?”. Ciagle zachowując czujność, delikatnie przytulasz ją do siebie i bez mrugnienia powieką odpowiadasz: „Głupta-sku, przecież tyle razy ci mówiłem, że w prakce po-psut się programator. Wszystko pierze się na dzie-więćdziesiąt stopni, nic dziwnego, że kostiumy się pokurczyły”.

Taka odpowiedź warta jest Nagrody Nobla, ale jej może to nie wystarczyć i za chwilę zaatakuję po-nownie: „Ale waga pokazuje, że przytyłam dzie-więć kilogramów”.

Musisz się sprężyć, bo tu pierwszy z brzegu ba-jer już nie wystarczy. Najlepiej zacząć od prawdy: „Waga jest dobra, ale, kochanie, czy nie zauważy-łaś, jak ostatnio urosłaś? A przecież waga zawsze dostosowuje się do wzrostu, więc optycznie to na-wet schudłaś”.

Po takim tekście każda trzydziestka, a także czterdziestka uwierzy, że istotnie urosła. W dal-szym ciągu będzie się sobie podobała, a ty będziesz

jej najukochańszym mężczyzną. Gorzej, jeśli na pytanie: „Kochanie, bardzo przytyłam?” niczym skończony kretyn odpowiesz: „Bo ja wiem, może trochę”.

Natychmiast się okaże, że jesteś ostatnią świnią, podłotą, że ją dręczysz, że się nad nią pastwisz, że na pewno jej nie kochasz, a na koniec poradzi ci, że-bys poszukał sobie szczuplejszej.

Mysle, że mężczyzn można podzielić na dwie grupy. Pierwsi cierpliwi, bo przez lata są w stanie stosować powyższą instrukcję obsługi. I drudzy niecierpliwi, bo zamiast instrukcji obsługi, na pyta-nie: „Kochanie, bardzo przytyłam?” odpowiadają zgodnie z prawdą: „Nie żryj tyle i się ruszaj, to be-dziesz szczuplejsza”.

Coś mi się wydaje, że należy do tych drugich i pewnie dlatego ciagle jestem wolny.

Rozdział VII

W sobotę wypuściłem się do lasu. Po dwóch tygodniach spędzonych nad jeziorem w mieście było jakoś ciasno. Przez ostatni tydzień biegaliśmy z Pointą na fort, ale moja dusza rwała się gdzieś dalej, do większej przestrzeni. Poza tym Kalerdarz wskazywał datę 22 lipca (dawniej i również obecnie E. Wedel) i nie było żadnego powodu, żeby siedzieć w domu.

Wybraliśmy się do Puszczy Kampinoskiej. Kiedy zaparkowałem na skraju lasu, Pointa nie posiadła się z radości. Tak się mówi, że nie posiadała się z radości albo ze szczęścia. Momentami zaskakuje mnie nasz język. Przecież jak ktoś czegoś nie posiada, to z jakiego powodu ma się cieszyć albo ma być szczęśliwy? W każdym razie suka kipiata radością, czy może należałoby powiedzieć „z radości”? W sumie najważniejsze, że kipiata, a ja razem z nią. I żeby tak całkiem nie wykipieć, ruszyliśmy na długi spacer w samo serce puszczy. Z tablicy in-

formacyjnej dowiedziałem się, że zabrania się prowadzenia psów luzem. Oczywiście miałem smycz, ale w plecaku. Pointa nie odstępowała mnie ani na krok, a kiedy wypuszczała się do przodu, wystarczyło, że klepnąłem się w udło i już była przy nodze. Byłem zachwycony inteligencją psa. Minęły ledwie dwa miesiące, a rozumieliśmy się bez słów. Gdy tylko o czymś pomyślałem, a ona natychmiast to wykonywała. Niesamowite.

Puszcza mnie oczarowała, nie sądziłem, że w niewielkiej odległości od Warszawy jest tak ogromny kompleks leśny. Idąc w stronę kanału Łasica, mijaliśmy przepiękne ogromne dęby, ukryte w drzewach leśniczówki, a gdzieś tam widać było pozostałości po dawno już opuszczonych wsiach. Przechodząc obok podmokłych łąk, jakieś dwadzieścia metrów przed nami zobaczyłem brodzącego w wodzie żurawia. Kilometr dalej drogę przecięło nam stado jeleni. I to wszystko niecałe pół godziny jazdy samochodem od centrum Warszawy. Musiałem być idiotą, że przyjechałem tu dopiero teraz. Z drugiej strony lepiej późno niż wcale. Albo jakby powiedział Tadzio, cytując jakiegoś mistrza zen: „Nigdy nie jest na nic za późno”.

Na rozstaju dróg w samym sercu lasu stała kapliczka. Ale nie taka zwykła, przydrożna. Kapliczka wyglądała jak miniaturowy kościółek. Była wielkości normalnego pokoju, miała dach, okna, drzwi. W środku znajdował się krzyż i maty ołtarz.

Ściany były przyozdobione zasuszonymi kwiatami i obrazkami świętych. Można tam było wejść, pomodlić się, a w razie czego nawet przeczekać ulewę. A że pogoda była znakomita, rozsiadłem się na trawie w sąsiedztwie kapliczki i wyjąłem z plecaka prowiant w poczuciu, że jak nigdy zasłużyłem na drugie śniadanie.

Nagle Pointa zerwała się na równe nogi, jak blyskawica ruszyła przed siebie i po kilku sekundach znikła mi z oczu za zakrętem, zupełnie nie reagując na moje wołanie. Ledwie zdążyłem wstać i przelknąć kęs, usłyszałem radosne skomlenie. I kiedy próbowałem zrozumieć, co to może oznaczać, zza zakrętu wyłonił się jeździec na koniu. Dookoła rumaka radośnie machając ogonem, biegła moja suka.

Gdy znaleźli się bliżej, wszystko stało się jasne. Na koniu siedziała doktor Maria. W dżinsowych spodniach, kowbojskich butach i z kapeluszem na plecach wyglądała po prostu pięknie. Zawsze widziałem ją w pracy z upiętymi starannie włosami, teraz były rozpuszczone i sięgały jej do ramion, co tylko potęgowało efekt. Siedziała w prawdziwym kowbojskim siodle i przez dłuższą chwilę miałem wątpliwości, czy jestem w Kambinosie czy — co bardziej prawdopodobne — znalazłem się w stanie Teksas na planie westernu z Sharon Stone w roli głównej.

Nie mniejsze wrażenie robił koń, na którym je-

chała. Był skarogniady, miał mały szczupaczy łeb zakończony aksamitnymi chrapami. Grzywa i ogon były czarne jak węgiel i nieprawdopodobnie gęste. Mimo niewielkiej postury i cienkich, suchych kończyn koń miał szeroką pierś i był świetnie umięśniony. Ale szczególną uwagę przyciągały jego wielkie, mądre oczy bijące blaskiem, siłą i jakąś trudno uchwytną szlachetnością. Mimo że zupełnie nie znałem się na koniach, byłem przekonany, że mam przed sobą absolutnie wyjątkowy okaz. Stałem i patrzyłem, a widok był przepiękny. I do dzisiaj nie jestem pewien, czy bardziej zachwycałem się jeźdźcem czy wierzchowcem.

Pani doktor niewidocznym ruchem zatrzymała konia, uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

— No proszę, góra z górą się nie zejdzie...

Dzień dobry, panie Wojtku.

Dzień dobry — wybelkotalem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć dalej.

— Co pan tu robi? — zainteresowała się.

— Aa, przyjechałszy z Pointą na wycieczkę.

— Suka przepięknie wygląda i jest w doskonałej formie — pochwaliła pani doktor. — Świetnie się pan nią opiekujecie.

— Dziękuję. — Przyjąłem pochwałę, nie kryjąc zadowolenia, i korzystając z okazji, odbiłem piłeczkę. — A cóż to za cudo, na którym pani siedzi?

— Arab — odpowiedziała z dumą. — Nazywa się Ahmet.

— Nie myślałem, że koń może być tak piękny. Jest pani własnością?

— Niestety, nie. Należy do moich dobrych znajomych, którzy mieszkają na skraju puszczy. Raz na jakiś czas wpadam tu, żeby pojeździć. Ale wiadzę, że i pan z klasycznego mieszczuca przeistacza się w miłośnika natury?...

— To wszystko przez nią. — Pogłaskałem się dząca przy nodze Pointę. — Wyciąga mnie na coraz dłuższe eskapady.

— Brawo, Pointa, rób tak dalej.

Pani doktor wysunęła nogi ze strzemion i nie tyle zeszła, co sfrunęła na ziemię. Obrzuciła konia fachowym spojrzeniem, przełożyła wodze i solizowała popręg.

— Można go pogłaskać? — spytałem nieco bardziej ośmielony.

— Oczywiście, proszę, śmiało, jest łagodny jak baranek.

Ahmet był cieplejszy niż moja ręka. Kiedy głaskałem go po szyi, stał nieruchomo i patrzył na mnie z ufnością. Przepiękny koń.

— Pani doktor, w plecaku mam sok i kanapki. Nic wyszukanego, ale zapraszam na drugie śniadanie.

— Dziękuję, z przyjemnością skorzystam, bo nawet trochę zgłodniałam. Tylko skończmy już z tymi tytułami. Proszę mi mówić Marysia. — Wyciągnęła w moją stronę rękę.

— Wojtek. — Przyjemnie zaskoczony przyjąłem uścisk dłoni.

Śniadanie na trawie w przysłowiowych już pięknych okolicznościach przyrody było niezwykle. Obok mnie leżała Pointa, a dwa metry dalej spokojnie pasł się koń. Rozmawialiśmy jak to zwykle w takich sytuacjach o wszystkim i o niczym. Głównie jednak o koniach. Konie były wielką pasją Marysi i opowiadała o nich z błyskiem w oczach. Kiedy nie było już nic do zjedzenia i wypicia, Maria spytała:

— Gdzie masz samochód?

— Na parkingu obok... — zerknąłem na mapę, żeby się upewnić — obok Bromierzyka.

— Fantastycznie, zaraz za Bromierzykiem mieszkają moi znajomi. Chodź, pokażę ci resztę koni.

W sąsiedztwie lasu stał niewielki drewniany dom. Właściciele, podobnie jak Maria, byli lekarzami, tyle że od ludzi, a nie od zwierząt, i codziennie dojeżdżali do pracy do Warszawy. Byłem przyzwyczajony do nieco innych podwarszawskich posiadłości. Przeważnie znajomi mieszkający w stolicy kupowali za dziesiątki tysięcy dolarów jakies skromne tysiąc metrów kwadratowych pod miastem i stawiali olbrzymi dom, prawie pałac. Tutaj były hektary, a na nich niewielki, skromny domek z bali kryty trzcina. I niech się schowają te wszystkie nowobogackie wille wykładane marmu-

rami i włoską glazurą, w których jest idealnie czy-
sto i tak samo ponuro. Domek lekarzy był ciepły
i przytulny, miał duszę. Wchodząc do środka, mia-
łem wrażenie, że on żyje, czuje, oddycha, że jest
niemalże jak żywa osoba.

Podwórko nie było wybrukowane kostką, nie
było bramy sterowanej pilotem, a na płocie nie wi-
siała tabliczka żadnej agencji ochrony. Za domem
ciągnęły się ogrodzenia z żerdzi, a teren podzielo-
ny był na padoki. W niewielkim brzoźowym lasku
stała drewniana stajnia. Marysia zapoznała mnie
z jej mieszkającami. W sumie było pięć koni. Był
hucut imieniem Azja, wielkopolska klacz Amebaj,
roczny fiording Cyprian i pełnej krwi angielskiej
wałach Norton.

Chlubą stajni i właścicieli był oczywiście prze-
piękny czystej krwi arabskiej Ahmet.

Szybko poznałem gospodarzy. Zosia i Marek
przeprowadzili się tutaj cztery lata temu. Któregoś
dnia doszli do wniosku, że mają dość smrodu, kor-
ków i hałasu. Znaleźli kawałek ziemi — skromne
cztery hektary. Na Podlasiu kupili stary drewniany
dom, rozebrali go, przenieśli i po dwóch miesią-
cach mogli się wprowadzać. Teraz dojeżdżali do
miasta tylko na dżury do szpitala. Podziwiałem
ich odwagę, bo osobiście bym się na coś takiego
nie zdobył. Mimo wszystko w mieście jest łatwiej,
bliżej, człowiek znajduje się w obiegu, ma kontakt
z rzeczywistością.

— Mamry kasety — pochwalił się Marek.
— To puść — zaproponowała Marysia.
— A twój przyjaciel? — Pan domu zdawał się
mieć wątpliwości.

— Czy możesz jeszcze chwilę zostać? — W gło-
sie Marysi słychać było nadzieję.

— Tak — odparłem zgodnie z prawdą.

— W takim razie obejrzyj z nami — zdecydo-
wała.

Marek włączył telewizor, a następnie wsunął ka-
setę w gardziel magnetowidu.

— Muszę cię uprzedzić, że niektóre sceny są
drastyczne.

— Dobrze. — Pokiwałem głową ze zrozumie-
niem, choć prawdę mówiąc, niewiele z tego wszyst-
kiego rozumiałem. Kasetą? Drastyczne sceny? Co
to za dziwne i tajemnicze towarzystwo?

Pojawił się obraz i natychmiast wszystko stało
się jasne. Rejestrowany amatorską kamerą film był
o koniach. Zobaczyłem wielkiego tira, z którego
wyładowywano zwierzęta. Kilka koni leżało na
podłodze, a pozostałe po nich deptały, niektóre
miały powybijane oczy, inne potłamsane nogi, jesz-
cze inne poranione boki. Cała platforma dosłowo
nie spływała krwią. Stojący po bokach samochodu
ludzie starali się wygonić konie na zewnątrz. Po-
magali sobie krzykiem i ostro zakończonymi pika-
mi, którymi przez kraty dźgali biedne stworzenia.
Oszałale ze strachu i bólu konie wypadały z nacze-

py półprzrytomne, niektóre na trzech nogach. Kiedy w środku zostały tylko te, które nie były w stanie się podnieść, obwiązywano je stalowymi linami i wyciągano na zewnątrz ciągnikiem.

Drastyczność obrazów spowodowała, że przesyłem szok. Nikt się nie odzywał. W oczach Marysi widziałem smutek i ogromną bezsilność.

— Co to było? — ządałem wyjaśnień.

— Transport polskich koni na rzeż — odpowiedziała.

— Widziałeś kręcony z ukrytej kamery rozładunek, po tym jak transport dotarł do Włoch — wyjaśnił Marek.

— Ale dlaczego te konie były w tak straszny stanie?

— Powodów jest wiele. Największy to przepelnienie, pakują tyle zwierząt, ile tylko się zmieści, po to żeby zmniejszyć koszty. Po drodze nikt ich nie karmi ani nie poi, a jadą wiele godzin, jeśli nie dni.

— A powyktuwane oczy?

— To robią ludzie jeszcze po polskiej stronie, przeważnie tuż przed granicą — do rozmowy włączyła się Marysia.

— Chyba nie mówisz poważnie. — Nie byłem w stanie uwierzyć w to, co słyszę.

— Niestety, tak.

— Ale po co? — Nie dawałem za wygraną.

— Okaleczone stworzenia są niepetnowarto-

ściowe i pobiera się za nie mniejsze cło — wyjaśniła.

— To prawda? — Patrzyłem na Marka, mając nadzieję, że zaprzeczy.

— Prawda — skwitował sucho.

— A co na to państwo, prawo, służby weterynaryjne?

— Nic — uśmiechnęła się ponuro Zosia. — Zdają się tego nie zauważać.

— Próbowaliście kogoś o tym powiadomić, zainteresować sprawą media?

— Robimy to nieustrudzenie od kilku lat — odezwał się Marek — ale równie dobrze można walić grochem o ścianę. Władza jest u nas po to, żeby rządzić, a nie rozwiązywać problemy, a media wolą pokazywać debilne teleturnieje.

— Wezmę od was tę kasetę i zobaczę, co da się zrobić — zaproponowałem.

— Będziemy wdzięczni.

— Ale to nie jest tak, że zupełnie nic nie robimy — ożywiła się Marysia. — Od kilku lat zbieramy pieniądze, fakt że głównie własne, i wykupujemy konie z transportu.

— Ameba, którą widziałeś w stajni, została w ten sposób uratowana od noża — dokończyła Zosia.

— Chcę się w to włączyć — zadeklarowałem z przekonaniem.

— Witamy. — Marek uściśnił mi dłoń. — Pie-

niądże są ważne, ale jeszcze ważniejsze jest wsparcie mediów. Opinia publiczna powinna się o tym dowiedzieć, ktoś musi wyemitować tę kasetę, może to obudzi sumienia.

Zrobiło mi się wstyd za nas wszystkich. Jak to możliwe, żeby cywilizowany, kulturalny naród, położony w środku Europy eksportował konie na rzeź w takich warunkach? I żeby to robili Niemcy, Włosi czy Francuzi, ale Polacy? Naród, który wydał na świat Kossaków? Naród od zawsze kochający się w koniach? Polacy? Najlepsza jazda świata? Czy to możliwe? Nie, niemożliwe... wręcz niewiarygodne, że potrafilismy się tak skundlić.

— Chodźcie do stołu — przerwała moje rozmyślenia Zosia.

Usiedliśmy w kuchni i na szczęście rozmowa zesłała na dużo lżejsze tematy. Jak to zwykle przy takich okazjach bywa, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym.

Wypiliśmy morze kawy, zjadając przy okazji dwie blachy ciasta. Do dziś jablecznik Zosi cieszy się w tej części Europy niekwestionowaną renomą. Zbliżała się pora obiadowa, więc taktownie podziękowałam i wymawiając się obowiązkami, pożegnaniem się. Marysia postanowiła odprowadzić mnie do samochodu. Zbliżając się do auta, zgodnie z prawdą powiedziałam:

— Dawno nie przeżyłam tak wspaniałego dnia, bardzo serdecznie ci dziękuję.

— Mnie również było bardzo miło. — Dziewczyna podeszła bliżej i musnęła mnie w policzek. — Dzięki. Gdybyś miał ochotę spróbować konnej jazdy, zadzwon. Obiecuję, że nie będziesz żałował.

— Nie wątpię. Na pewno zadzwonię.

Otworzyłam drzwi samochodu, ale zamiast wsiadać, oparłam się o szybę i zapytałam:

— Co robisz w przyszłą sobotę?

— Nie ma sprawy, możemy pojeździć — ucieszyła się Marysia.

— Nie do końca o to mi chodzi.

— A o co? — nie kryła zainteresowania.

— Widzisz — plątałam się — mój kumpel Karol będzie się żenił bodajże siódmy raz. I za każdym razem przychodzi na jego ślub sam jak kotek. Znam Karola i na pewno by się ucieszył, widząc cię ze mną.

— Mówisz, że Karol by się ucieszył, a ty? — zapytała nieśmiało.

— Ja tym bardziej.

— Czy mam rozumieć, że jest to zawalowana propozycja randki?

— Jak zwał tak zwał, ale skoro mąż cię nie puści...

— Nie mam męża.

— No, to narzeczony, co za różnica.

— Jeśli ci powiem, że nie posiadam również narzeczonego, to się poczujesz za pewnie.

— To nie mów. Swoją drogą, nie myślałem, że faceci są tak zdrowo porąbani.

— Dlaczego tak mówisz?

— Żeby taka kobieta chodziła wolno, zupełnie luzem...

— Proszę, jaki komplementciarz. — Uśmiechnęła się szeroko.

— Pani doktor, to jak będzie ze ślubem?

— To, że nie mam męża ani narzeczonego, wcale nie znaczy, że chcę się natychmiast wydać.

— Na razie mówimy o ślubie Karola.

— Dobrze usłyszałam, żeni się siódmy raz?

— Jeżeli się nie pogubiłem w rachunkach.

— Dobrych masz kolegów. — Sytuacja widać nie ją bawiła.

— Pójdiesz? — nie dawałem za wygraną.

— Oj... Powinnam powiedzieć, że nie wiem, że może będę miała dżur, że nie mam się w co ubrać...

— A co powiesz?

— Idę.

Wyprostowałem się niczym struna i salutując jak amerykański komandos, wykrzyczałem na całą okolicę:

— Hip, hip, hurra! Hip, hip, hurra, hip, hip, hurra, hurra, hurra!

Śmiała się tak przepięknie, że chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie. Śmiały się do mnie jej ślicz-

ne oczy i czułem, jak jakaś niewidzialna ręka ścisła mnie za gardło. Skąd miałem wiedzieć, że to ręka opatrności?

— Wariat — rzuciła radośnie.

— Pointa, do wozu — wydałem psu komendę.

— Piękna pani doktor, jadę, bo jeszcze się pani rozmyśli.

— Do widzenia panu.

— Cześć. — Wsiadłem do auta i ruszyłem.

* * *

Zaiskrzyło. Co tam zaiskrzyło, to nie była iskra, tylko prawdziwe wyładowanie atmosferyczne. Nie będąc drobiazgowym, można przyjąć, że na człowieka czyhają dwa niebezpieczeństwa: może go trafić szlag albo może go strzelić piorun. W moim własnie strzelił piorun, piorun miłości. Z liściełki wiadomo, że za takie strzały odpowiada reżym Amora, ale w moim przypadku musiał to być Robin Hood, bo Amor by tak celnie nie przymierzył.

Tego dnia wieczorem siedziałem w domu na kanapie i popijając zimne piwo, mówiłem do Pointy. Może weźmiecie mnie za czuba, ale już od jakiegoś czasu prowadziłem rozmowy z Pointą. Konkretnie to ja gadałem, a ona wykonywała przeróżne miny, stosownie do tematu moich wy-

wodów. I jestem święcie przekonany, że rozumiała każde słowo, a co więcej, jeśli tego potrzebowałem, umiała mi nawet poradzić. Tak więc, mówię do Pointy:

— Zobacz, piesku, mnie starego kawalera, sprytnego lisa, samotnego wilka pani doktor złapała jak rybkę w sieć. Żeby złapała... sam wpadłem i coś mi się zdaje, że mogę się w tej sieci nieźle zamotać. I co ty na to, piesku?

Suka siadła obok mnie i zaczęła podawać mi na zmianę obie łapy.

— Co to ma znaczyć? Mam ją poprosić o rękę?

Pies zareagował głośnym szczeknięciem. Kiedyś mogło oznaczać tylko jedno.

— Powoli, przecież się nie pali. A lubisz panią doktor?

Pies natychmiast dał głos, aż zadźwięczało mi w uszach, po czym radośnie zakręcił ogonem.

— Wiesz, że to ona cię wyleczyła?

Szczeknięcie.

— Prawie całą noc walczyła, żebyś przeżyła.

Trzy szczeknięcia.

— Powiem ci, że to kapitalna kobitka. Wiedziałem to piętnaście minut po tym, kiedy przyniosłem cię do lecznicy. I zobacz, jakie to życie jest dziwne, gdyby nie dzisiejszy przypadek moglibyśmy się już nigdy nie spotkać. Chociaż Tadzio twierdzi, cytując jakiegoś wschodniego mistrza, że przypadki nie istnieją. Podobno przypadek jest prawidłowo-

ścią. Myślisz, że ktoś tam na górze wykombinował, że dzisiaj mieliśmy się spotkać?

Pies jakby nieznacznie kiwnął łbem.

* * *

Dni ciągnęły mi się wolniej niż penitencjariuszowi zakładu karnego. Nie mogłem się doczekać soboty. Marysia zastępowała koleżę, który wyjechał na urlop, i nie było mowy, żeby się z nią przedtem umówić. Rozmawialiśmy kilka razy przez telefon i były to jedyne chwile, gdy nie cierpiałem jak potępieniec. Teskniłem. Było to uczucie, którego nie doświadczyłem od bardzo, bardzo dawna.

W końcu nadeszła sobota. Wbiłem się w garnitur, pojechałem odebrać kwiaty i o umówionej godzinie zaparkowałem pod blokiem Marysi. Kiedy wyszedłem z samochodu, zbiegała już po schodach. Miała na sobie śliczną błękitną suknię, takiego samego koloru buty i torebkę. Włosy częściowo upięte, częściowo rozpuszczone, a może zakrecone — jeśli idzie o damskie fryzury nie jest specjalnie mocny. W każdym razie jeszcze nigdy i nigdzie nie szedłem z tak piękną i zjawiskową kobietą.

— Chyba się spóźniłam? — zapytała nieco zaskoczona.

— Bron Boże.

— To co się tak gapisz jak sroka w gnat?

— Bo mam przed sobą prawdziwą boginię — próbowałam coś skłecić naprędce.

— Dobrze, dobrze. Na początku zawsze tak mówicie, a później do garów, do pieluch i do ogródka.

Nie dość, że piękna, inteligenta, to na dodatek z poczuciem humoru. Czy to nie za dużo szczęścia naraz?...

* * *

Ślub jak ślub. Urzędnik stanu cywilnego wypowiedział zwyczajowe formułki, a następnie poinformował zebranych, jakie wyzwania stoją przed nową komórką społeczną. Dla Karola informacje były absolutnie zbędne, ponieważ posiadał już sześć komórek, a i wśród zaproszonych gości od komórek aż się roiło, co gorsza, nie wszyscy pamiętali, żeby je włączyć. Na szczęście te, które dzwoniły, były zaprogramowane na marsz Mendelssohna.

Część oficjalna imprezy zakończyła się ślubem cywilnym. Ze zrozumiałych względów Karol nie mógł przysięgać jakiejś pani, że jej nie opuści aż do śmierci. Część rozrywkowa odbyła się na trawniku przed willą przyjaciela pana młodego. Na weselu zameldowało się pół branży, bo i kto pogardzi darmochą. Byli znani aktorzy, prezenterzy, dziennikarze, sportowcy i biznesmeni. Słowem ci, co zawsze.

Nie ma bardziej zakochanej w sobie, próźniaczkiej i fałszywej branży niż artystyczna. Jeśli jedna aktorka mówi do drugiej: „Kochanie, jak ślicznie dzisiaj wyglądasz”, to wiadomo, że jak się tylko odwróci, do następnej powie: „Widziałas tę lafiryndę, zobacz, jak się przypięła na solarium, straszne ma te wory pod oczami. A w ogóle, co za łachmany na siebie włożyła”.

Z tym większą satysfakcją odnotowałam, że wszyscy plotkowali nie o parze młodej, ale o mnie i Marii. Do tej pory na wszelkie imprezy przychodziłem raczej sam i dzisiaj nareszcie mogli sobie pozwolić. Marysię przedstawiłem jako swoją narzeczoną i zaczęło się. Na jej widok starym branżowym wyjadaczom zaświeciły się oczy i pociekła ślinka. Panie przyglądały się z zaciękawieniem, za wszelką cenę szukając jakichkolwiek defektów. Na próżno. Marysia była prawdziwą królową przyjęcia, spychając głęboko w cień uznane piękności i pseudoseksbomby z kolorowych tygodników.

Imponowało mi, że miałem przy sobie kogoś z zupełnie innej bajki. Marysi nie interesowało, kto z kim, za ile, po co i dlaczego. Poza tym daleka była od tak charakterystycznego dla mojego środowiska wystawiania wszystkim natychmiastowych cenzurek. Miała duży dystans, obecność znanych ludzi bynajmniej jej nie peszyła i potrafiła się bawić. Koleżeństwo miało o czym gadać, bo przetań-

czyliśmy, nie odrywając się od siebie, całą noc. Rozmawialiśmy o weterynarii, o pisaniu tekstów, o psach, koniach, samochodach, wakacjach. Poruszaliśmy kwestie rodzinne, a nawet sprawy damsko-męskie. Mówiliśmy i mówiliśmy, nie mogąc się nagadać. Z ważniejszych rzeczy dowiedziałem się, że Marysia jest rozwódką. Wyszła za mąż jeszcze na studiach, ale się nie układało i po dwóch latach się rozstali. Wspólnie z przyjaciółmi z wydziału wydzierzawili budynek i otworzyli lecznicę. Rodzice jakiś czas temu się rozstali, a brat jest marnarzem.

W pewnym momencie poprosiła:

— A teraz opowiedz mi coś o sobie.

— O sobie mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem tobą nieprawdopodobnie zachwycony. Nasze spotkanie w lesie było dla mnie wielkim wstrząsem.

— Bez przesady.

— Nie ma w tym ani odrobiny przesady. Kobięto, rzuciłaś mnie na kolana, nigdy nie zapomnę chwili, gdy zobaczyłem cię na koniu.

— Prawda, koń jest przepiękny.

— Nie wiem, czy to ma jakiś sens, ale myślisz, że mógłbym nauczyć się jeździć?

— Chciałbyś? — zapytała z radością.

— Nie wiem, czy nie jestem za stary, z drugiej strony konie są takie piękne. Czuję, że coś

mnie do nich ciągnie, chyba chciałbym chociaż spróbować.

— Na pewno się nauczysz, już moja w tym głowa.

Ani się spostrzeżliśmy, jak zaczęło świtać. Na parkiecie nie było już nikogo oprócz nas. Przyzwyczajoność nakazywała wracać do domu. Kiedy serdecznie zegnaliśmy się z młodą parą, w oczach Karola wyczytałem, że chętnie poszedłby na wymianę. Nigdy.

Rozdział VIII

Zadzwonila we wtorek.

— Co robisz w weekend? — spytała bezceremonialnie.

— A co mam robic? — odbilem bez namystu.

— Słyszales kiedyś o Janowie Podlaskim?

— Słynne aukcje arabów, tak?

— Między innymi. Pojutrze rozpoczyna się festiwal koni arabskich, od dziesięciu lat zawsze bywam w Janowie, nie opuściłam żadnej imprezy.

— I w tym roku też nie opuścisz. Już się pakuję.

— Mówisz poważnie? Pojedziesz? — nie dowierzała.

— Pojadę... Od lat o niczym innym nie marzętem. Arabi i Janów śnią mi się po nocach.

— Wstrętny kłamczuch.

— Tylko jest jeden kłopot, nie mam gdzie zostać Pointy.

— Pointa jedzie z nami.

— Do hotelu?

— Znajomi kupili w pobliżu Janowa starą drewnianą chatkę, przed chwilą wzięłam od nich klucze. I wyobraź sobie, nie mają nic przeciwko temu, żeby Pointa u nich zamieszkała.

— Widzę, że pani doktor pomyślała o wszystkim.

— Wyjeżdżamy w czwartek po południu.

— Teraz to naprawdę nie będę mógł się doczekać.

— Pa. — Odłożyła słuchawkę.

* * *

W Janowie byliśmy kilka minut po siedemnastej. Pogoda jak marzenie, ciepło, słonecznie, ale bez upału. Do mekki polskich arabów prowadzi aleja zmarłego niedawno dyrektora Krzyształowicza. Maria znała go osobiście. Człowiek ten już za życia był legendą nie tylko polskiej, ale i światowej hodowli arabów. To za jego czasów Janów zyskał międzynarodowe uznanie, a wyhodowane przez niego konie były sprzedawane za astronomiczne kwoty przekraczające milion dolarów.

Kiedy dojeżdżaliśmy na miejsce, czułem rodzaj podniecenia, który zdarza się wyjątkowo. Są chwile, kiedy człowiek w pełni zdaje sobie sprawę, że żyje. To była właśnie taka chwila. Mijając bramę stadniny, wjechałem do świata bajki. Marysia w połączeniu końmi arabskimi stanowiła mie-

szankę na tyle wybuchową, że następne trzy dni kompletnie odmieniły moje życie.

Nigdy czegoś podobnego nie widziałem ani nie przeżyłem. Nigdy nie byłem tak zauroczony i szczęśliwy. Obok siebie miałem cudowną kobietę, zwariowaną na punkcie janowskich arabów. Kochać ją, oznaczało również kochać te przepiękne stworzenia. Jak nigdy dotąd byłem pewny, że ani jedno, ani drugie nie sprawi mi żadnych trudności.

Impreza rozpocznęła się następnego dnia rano narodowym championatem. Po załatwieniu w stadninie drobnych formalności ruszyliśmy w stronę chatupy znajomych Marysi. Kilka kilometrów od Janowa zjechalśmy z wąskiego asfaltu w stronę Buga. Po kilkuset metrach równoległe do rzeki ciągnęła się niewielka wieś. Mijając kolejne gospodarstwa, wydawało mi się, że przeniesliśmy się w dziewiętnasty wiek. W całej wiosce nie było jednego murowanego domu. Po obu stronach drogi wznosiły się stare drewniane zabudowania i zagrody. Większość budowli była kryta strzechą. Gdzieniegdzie straszły pozarywane dachy i stojące niczym kikuty ściany pozostałe po zawalonych budynkach. Gospodarstwa były ogrodzone drewnianymi plotami, stawianymi chyba jeszcze przed wojną. Na każdym kroku widać było biedę. I o ile dla mieszkańców wioski była to zwykła szara, smutna bieda, o tyle dla mnie była to bieda nie-

zwykle malownicza, mająca swoje niepowtarzalne piękno, niezwykły klimat, wręcz duszę.

Dom znajomych Marysi rozpoznałem natychmiast. Mimo że konstrukcyjnie niczym nie różnił się od pozostałych, był zadbany, miał rynnę i pomalowane okiennice. Działkę porastały szlachetne drzewa, trawa była przyszyżona, a kilka metrów od tarasu znajdował się otoczony kamieniami polnymi duży basen. Na tle reszty wsi wyglądało to raczej na luksusową rezydencję niż zwykłą chatupę.

Wieczór i większą część nocy zdominowały konie. Popijaliśmy wino, ja słuchałem, a Marysia mówiła i wydawało mi się, że o pustynnych rumakach wie wszystko.

Historia hodowli polskich arabów jest równie tragiczna jak historia naszego kraju. Były wielokrotnie grabione, wywożone przez okupanta tak na wschód, jak i na zachód. Przeżyły zabory, rozbior, powstania, dwie światowe wojny, przeżyły nawet naloł dywanowy Drezna. Dziełnie zniósł czaszą komuny, w których koń arabski był uosobieniem burżuazji i jako taki traktowany był niczym wróg klasowy. Polskie araby odradzały się jak Feniks z popiołów dzięki wybitnym i oddanym hodowcom. Już w dziewiętnastym wieku organizowali oni wyprawy na pustynię, żeby zaopatrzyć się w oryginalny materiał czystej krwi. Jak oka w głowie strzegli bezcennych rodów, nierzadko nara-

zając życie. W efekcie dzisiaj szejkwowie z emiratów przyjeżdżają do Polski kupować konie arabskie.

Marysia zarażała mnie swoją pasją, mówiła o koniach tak, jakby nic innego nie istniało na świecie.

— Nie nudzę cię? — zapytała w pewnej chwili.

— Chyba żartujesz, to, co mówisz, jest fascynujące — odpartem zgodnie z prawdą.

— Jak chcesz, opowiem ci trochę o koniach jawnowskich.

— Zamieniam się w słuch.

— Najstymniejszą klaczą w powojennej historii stadniny była Bandola.

— Zwana „królową Janowa”, matka legendarnego Bandosa sprzedanego do Stanów za osiemset sześć tysięcy dolarów. Niezwykle piękna, siwa w hreczce, dożyła trzydziestu pięciu lat — wyrecytowałem z pamięci.

Patrzyła na mnie zdumiona.

— Skąd ty to wiesz? — zapytała.

— Odrobiłem zadanie domowe. Kiedy umówiliśmy się na ten wyjazd, uznałem, że nie mogę być takim totalnym dyletantem, i postanowiłem odrobinkę się dokształcić.

— Zrobiłeś to dla mnie?

— Chyba tak.

Zerwała się ze swojej sofy i podszła do mnie.

— Panie Wojtku, bardzo mi pan zaimponował — mówiąc to, pocałowała mnie w policzek. Na-

stępnie usiadła na oparciu mojego fotela i spytała:

— Dużo jeszcze wiesz?

— Prawie nic. Czytałem coś o ogierze El Paso, którego dyrektor Krzyształowicz sprzedał za milion dolarów, i o jakimś koniu, który podbił Amerykę.

— Jak się nazywał?

— Właśnie nie mogę sobie przypomnieć.

— Może Bask?

— Oczywiście, ty chyba wiesz wszystko.

— Był pełnym bratem Bandoli i rozstawił naszą hodowlę na kontynencie amerykańskim. Do dziś posiadanie w Stanach konia z krwią Baska przynosi hodowcy wielki splendor.

— Widziałem jeszcze zdjęcie Eukaliptusa.

— Jutro zobaczysz go na żywo. Eukaliptus jest wrukiem Bandoli, a synem Bandosa. Jego matka to niezwykle zasłużona dla hodowli i prześliczna Eunice, córka Cometa. Eunice urodziła również pełną siosię Eukaliptusa, Europę. Ta z kolei ze wspomnianym już El Paso dała niepobitego na torze wyścigowym Europejczyka.

— Błagam, nie wszystko naraz i tak tego nie spamiętam.

Uśmiechnęła się.

— Powoli się nauczysz.

— Powiedz, jakim cudem z taką łatwością poruszasz się po labiryncie tych wszystkich rodowodów? Spojrzała mi głęboko w oczy i odpowiedziała z powagą:

— Bo ja te konie bardzo Kocham.

— A mnie? — spytałam z miną beparńskiego kundelka, który błaga przechodnia, żeby się nim zaopiekował.

— Kto wie... — odparła kokieterynie.

— Może nie posiadam najlepszego rodowodu, nie jestem podobny do araba, a co dopiero czystej krwi, może wielkiej szlachetności po mnie nie wi-
dać, ale jednak coś w sobie mam.

— Nie musisz się tak reklamować.

Maria objęła moją szyję i zsunęła się na mnie z oparcia fotela. Nasze usta błyskawicznie się od-
nalazły. Bóg jeden wie, jak długo czekałem na ten
pocątnek.

Kiedy rano stanąłem na tarasie chatupy, zoba-
czyłem zupełnie inny świat. Niebo było błękitne,
drzewa zielone, a kwitnące trawy mieniły się kolo-
rami. Niby nic nadzwyczajnego, przecież dosyć
często niebo bywa błękitne, drzewa zielone, a tra-
wy kolorowe. Problem w tym, że prawie tego nie
zauważamy. Ież piękna jest w każdym kwiatku,
w każdym liście czy delikatnym powiewie wiatru.
Jak rzadko w tym codziennym wysięgu szczurów
i bezustannym rozpychaniu się łokciami dostrze-
gamy piękno natury. Jesteśmy tak omanieni tą ga-
lopującą cywilizacją, że nie widzimy już nic poza
szeszczącymi papierkami, których należy zdoby-
wać wciąż więcej i więcej.

Czy to normalne, że najlepsze lata swojego życia

spędzamy przed telewizorem i komputerem? Mo-
że i normalne, bo przecież normą jest to, co robi
większość, tylko jaki to ma sens?

Niepostrzeżenie na tarasie pojawiła się Marysia.
Była boso, zawinięta jedynie w prześcieradło. Wy-
glądała jak zawsze przesłicznie. Odrobinkę zasp-
na przytuliła się do mojej piersi i delikatnie zie-
wając, zapytała:

— Nad czym tak dumasz, ranny ptaszku?

Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że w przy-
padku Marysi moja „instrukcja obsługi” była zbio-
rem bzdur i idiotyzmów. Może to i było skuteczne
w przypadku takich czy innych panienek, ale nie
prawdziwych kobiet. Głaszcząc jej włosy, odpo-
wiedziałem wymijająco:

— Tak sobie myślę.

— Nie bądź taki tajemniczy. — Uwiesiła mi się
na szyi.

— Co mam ci powiedzieć? Że się zastanawiam
nad sensem życia...

— O szóstej rano? Chętnie posłucham, co masz
do powiedzenia w tej materii, ale na razie chodź
do łóżka — mówiąc to, przywarła do mnie całym
ciałem.

Była to propozycja, której nikt przy zdrowych
zmysłach nie byłby w stanie odrzucić. A ja, jeśli na-
wet ostatnio dostawałem świra, to wyjącznie na
punkcie Marysi.

Championat rozpoczął się od klasy ogierków rocznych. Prezentery pokazywali co chwila nowe konie, sędziowie oceniali, publiczność biła brawo i tak bez przerwy od rana do wieczora. Siedziałem i patrzyłem jak zaczarowany. Marysia zapisywała punktację każdego konia, pokazywała mi swoich faworytów i ścisłała mnie, gdy ci wygrywali. Raz za razem wstrzymywałem powietrze, patrząc na ten niewiarygodny spektakl. Po kilku godzinach nawet laik taki jak ja nie miał już żadnych wątpliwości, z jakiego powodu cały świat zjeżdża do Jannowa po konie. Polskie araby warte są tego, żeby tułać się z nimi jak dyrektor Krzyształowicz po całej Europie, warte są rzyzykowania życia w nalach dywanowych, warte są największych ofiar, bo takich koni nie ma nigdzie na świecie. Przepiękne, dumne, charyzmatyczne, inteligentne i obdarzone jakąś trudną do zdefiniowania wewnętrzną siłą. Posiadające ogromny temperament i niebывale spokojne, nieustraszone i cudownie łagodne, oddane bez reszty człowiekowi i mające pełną świadomość swojej własnej mocy. Jeśli istnieje idealne dzieło stwórcy, to bez wątpienia jest nim koń arabski.

Czy widzieliście kiedyś biegnącego araba? Jego rozdęte chrapy, falująca grzywę, piorunujące oko i dumnie uniesiony ogon? Jeżeli nie, postarajcie się

to nadrobić. Jeśli tak, jesteście szczęściarzami, bo niewiele jest na tej ziemi widoków mogących konkurować z synem pustyni oglądanym w kłusie czy galopie.

Oszalałem, tak, to jest dobre słowo. Oszalałem na punkcie tych koni. Jeśli dodać to tego, że coraz bardziej szalałem na punkcie mojej pani doktor, to można śmiało zaryzykować, że ogarnął mnie stan totalnego szaleństwa. I jedynym, czego wtedy pragnąłem, to żeby to szaleństwo nigdy się nie skończyło.

Kiedy na padoku prezentowała się kolejna stawka koni, rzucilem dosyć głośno:

— Wygra ten z numerem trzecim.

Sędzacy przy sąsiednich stolikach popatrzyli na mnie ze zdziwieniem, a facet noszący krawat z galopującymi wierzchowcami, uśmiechając się, litosciwie skwitował:

— Nie ma żadnych szans.

Marysia przysunęła się do mojego ramienia, po czym szepnęła mi do ucha:

— Dlaczego myślisz, że wygra trójka?

— Bo to jedyny gniady arab w całej stawce.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek, co miało znaczyć „Oj, biedaku, musisz się jeszcze sporo nauczyć”.

Po jakichś pięciu minutach przez mikrofon popłynął głos prowadzącej pokaz:

— Szanowni państwo, klasę ogierków dwuletnich zdecydowanie wygrał wyhodowany w Janowie Podlaskim Carewicz z numerem trzy.

Sędziowski werdykt spowodował, że w oczach sąsiadów, a byli to przeważnie prywatni hodowcy i właściciele, zyskałem opinię nie byle jakiego fachowca. Krawat w galopujące konie pogratulował mi wiedzy i wspaniałego wyczucia. Ktoś inny zaproponował drinka, jeszcze inny dopytywał się Marysi, skąd wytrzasnęła tak dobrego eksperta. Wkrótce do naszego stolika dosunęto dwa szal siednie i nastąpiła pełna integracja środowiska arabiarzy. Mimo że atmosfera była niezwykle sympatyczna, ja znajdowałem się w coraz bardziej kłopotliwej sytuacji. Ledwie Marysia przedstawiła mnie wszystkim, a już padło pytanie, gdzie mam stadninę?

Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że jeszcze nie mam. Wtedy zebrani doszli do wniosku, że na pewno buduję, i chcieli koniecznie wiedzieć, w którym miejscu. Włhem się jak piskorz, przebąkując coś o Puszczu Kampinoskiej. Oczywiście musiałem przyrzec, że jak tylko skończę, zaproszę wszystkich na otwarcie. Raz po raz nasze spojrzenia się krzyżowały i widziałem, że Marysia z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

Niestety, wymaganie w stosunku do fachowca,

za jakiego mnie wzięto, były dosyć duże, bo rozmowy szybko zeszyły na tematy hodowlane.

— Mam półroczną klaczkę po Pamirze — mówił właściciel stadniny z Wielkopolski. — Myślił pan, że powinieniem pokazać ją na championacie?

— Dlaczego nie, warto spróbować, w końcu Pamir to niezły koń — zupełnie nie wiedziałem, o czym mówię.

Na szczęście odpowiedź ucieszyła pytającego, bo natychmiast rzucił:

— Skoro pan tak sądzi, to ją wystawię. — Następnie postawił przede mną kolejnego drinka.

Ktoś inny podchwycił temat.

— Też mam dwa źrebaki po Pamirze i to całkiem przyzwwoite. A zdaniem pana, jakimi ogierami powinno się kryć w przyszłym sezonie?

To było już ponad moje siły, dlatego sprytnie zszedłem z siebie odpowiedzialność.

— Jeśli idzie o ogiery — powiedziałem — to w stu procentach polegam na wiedzy Marysi.

— A, to państwo wspólnie zakładacie tę stadninę — bardziej stwierdziła, niż spytała dystyngowana dama w kapeluszu.

Teraz Marysia była pod ścianą. Ale zamiast więc się i kręcić, powiedziała po prostu:

— Na dzisiaj takie mamy plany, a co z tego wyjdzie, zobaczymy.

Przez najbliższe godziny udało mi się ze wszystkimi zaprzyjaźnić, unikając kompromitacji. Wy-

mienialiśmy opinie, uwagi i wrażenia, wymieniliśmy również wizytówki. A kiedy się okazało, że pracuję w show-biznesie i większość znała moje programy, traktowali mnie jak swojego.

Kiedy szczęśliwie zostaliśmy sami, Marysia pokładała się ze śmiechu.

— Ty szarlatanie — mówiła. — Ty okrutny kłamczuchu, ty oszuście. Jak można tak bezczelnie naciągać ludzi.

— O przepraszam — broniłem się. — Żadnego naciągania nie było, nikt nie stracił ani grosika. A co im miałem powiedzieć, że się nie znam? Tak by nie uwierzyli, po tym jak wytypowałem zwycięzcę klasy. Wzięliby mnie za gburę i sobka, którzy nie chce się podzielić swoją wiedzą i doświadczeniem.

— A tak stałeś się ekspertem i podbiłeś serca połowy branży. Ja zabiegałam o względy tych ludzi przez kilka lat, a ty zrobiłeś to w jedno popołudnie.

— Ma się ten talent, wdzięk i bezpretensjonalność.

Złapałem ją wpół, uniosłem i pocałowałem.

— Kocham cię, wariacie — szepnęła.

* * *

Tego wieczoru zobaczyłem Eukaliptusa. Ze znajomościami Marysi nie mieliśmy żadnego proble-

mu, by dostać się do pilnie strzeżonej stajni czołowej. Ogier zajmował boks numer jeden. Kiedy weszliśmy do niego, ten sędziwy dwudziestoseścioletni dziadek smacznie przeżuwał siano. Nie ma znaczenia, czy ktoś jest wybitnym fachowcem czy zupełnym laikiem, na widok takiego konia wszystkim zapiera dech w piersiach. Siwy w hreczce z łabędzią szyją i wielkimi czarnymi jak węgiel oczyma prezentował się niezwykle okazale. Stojąc obok niego, miało się wrażenie obcowania z czymś wielkim. Eukaliptus wręcz onieśmiał swoją obecnością. Prezentował sobą wszystko to, co najlepsze w polskim arabie. Był doskonałym efektem pracy kilkunastu pokoleń hodowców, którzy dążyli do stworzenia konia pięknego i wyjątkowego. Kiedy głaskałem go po grzbiecie, Marysia wyjęła z torebki aparat i zrobiła nam zdjęcie. Oprawione, stoi teraz w moim biurku. Było to nasze pierwsze, a zarazem ostatnie spotkanie. Wiosną następnego roku przyszała z Janowa wiadomość, że Eukaliptus przeniósł się na wieczne pastwiska.

Rozdział IX

Ostatnie dwa miesiące daty mi odpowiedź na kilka fundamentalnych pytań. Wcześniej wielokrotnie zastanawiałem się nad swoim losem, nie stałem się chodząc jednak do żadnych sensownych wniosków. Nie mogłem zrozumieć, jak to się dzieje? Każdy młody człowiek ma szlachetne wizje, fantazję i nieprzebrane siły, żeby zawojować cały świat. Następnie, po tym wyśleskionym wejściu w dorosłość, już po kilku latach zżera go proza życia. Kolorowe sztandary z odważnymi hasłami i szumnymi zapowiedziami zostają wepchnięte do najgłębszych zakamarków duszy, a zamiast tego pojawia się wszechogarniająca szarość. Znika gdzieś radość i entuzjazm, ulatniają się wiara i optymizm, gaśnie pasja i umiera w nas ta odrobina fantastycznego szaleństwa. Codziennosc, dominuje walka o przetrwanie, która zmusza do kapitulacji nawet najsilniejszych. Efektem

tej szarpanki z rzeczywistością jest przeważnie rezygnacja, i to rezygnacja z samego siebie. Zdumiewające, jak łatwo można zgubić samego siebie. Co gorsza, coraz trudniej w tym cywilizacyjnym gąszczu, wśród tych wszystkich cudów techniki, siebie odnaleźć. Winę za to wszystko ponosi poczekalnia. Ale nie taka zwykła, szara dworcowa. Ta nasza jest poczekalnią szczęścia, poczekalnią marzeń. Zamiast żyć pełną piersią, czekamy w niej na nasz wymarzony pociąg szczęścia. Ludzimy się i mamimy, że któregoś dnia ten pociąg nadjedzie, ale on nie nadjeżdża, bo przecież takiego pociągu nie ma nawet w boskim rozkładzie jazdy. Szczęścia nie da się kupić, tak samo jak nie może ono nadjechać żadnym ekspresem. O szczęście trzeba powalczyć samemu.

I ja właśnie przez całe lata żyłem w takiej poczekalni. Oczywiście jak każdy rozsądny człowiek próbowałem sobie to czekanie jakoś uprzyjemnić. Jeśli tylko mogłem, sprawiałem sobie prezenty. A to wychodziłem na zakupy, a to fundowałem sobie zagraniczne wakacje, wreszcie kupowałem coraz lepsze i droższe samochody. Niestety, wystarczało na krótko i już po kilku dniach znudzony nowymi gadżetami wracałem do poprzedniego stanu ducha. Ileż to razy wyznaczałem sobie kolejne cele, po osiągnięciu których miałem być szczęśliwy. I co? I nic. Piąłem się po szczeblach kariery, dostając co-

raz lepsze i bardziej intratne propozycje. Budowałem swoją pozycję zawodową, poznawałem, a później pracowałem z ludźmi, których wcześniej podziwiałem tylko na srebrnym ekranie. Zdarzały się nagrody i przyjazne reakcje krytyki. Kupiłem mieszkanie, umeblowałem, a ostatnio idąc za przykładem kolegów, zacząłem się rozglądać za działką budowlaną pod Warszawą. Zjeździłem pół świata, byłem w tyłu wspaniałych miejscach, na widok których człowiek marzy, aby zostać tam na zawsze. Przesiadałem się do coraz nowszych cacuszek z coraz większymi silnikami, klimatyzacją i szyberdachami. Przez całe lata się łudziłem, że przy okazji następnego wyjazdu, na kolejnym imieninach czy na raucie poznam tę wspaniałą, jedyną, idealną.

I co tu dużo gadać, zasiadziałem się w mojej poczekalni szczęścia ładnych paręnaście lat, nie robiąc zupełnie nic, a przynajmniej bardzo niewiele, żeby się z niej wydostać. I gdyby nie wydarzenia ostatnich tygodni, tkwiłbym w niej, kto wie jak długo. Bynajmniej jeszcze z niej nie wyszedłem, jak na razie uchylłem jedynie drzwi i postawiłem nogę na progu.

* * *

Kilka dni po janowskiej aukcji wybraлиśmy się do znajomych lekarzy z Puszczy Kampinoskiej.

— Wyprostuj plecy... Dobrze. Bardziej obciąż strzemiona... pięta w dół... luźniej wodze... Nie wiś mu na pysku, postaraj się zachować równowagę. — Marysia była w swoim żywiole.

— Poczekaj, może nie wszystko naraz — próbowałem się, próbując usiedzieć na grzbiecie wierzchołka.

— Rozluźnij się.

— Łatwo ci mówić.

— I przestań się bać. Koń jest zwierzęciem uciekającym.

— Co to ma do rzeczy?

— Ogromnie wiele. Jeśli boisz się psa, on wy-czuwa twój strach i reaguje agresją, żeby zdobyć nad tobą przewagę. W przypadku koni jest zupełnie inaczej.

— To znaczy jak?

— Jeśli ty się boisz, koń to wyczuwa i jako stworzenie uciekające zaczyna bać się razem z tobą. Następnie eskalacja strachu, a stąd już krok do paniki.

— A panika, jak mnie uczyli w wojsku, jest wrogiem działań.

— Właśnie. Dlatego w kontaktach z końmi tak ogromne znaczenie ma wewnętrzny spokój. Jeśli koń się spłoszy, ale ty zachowasz spokój, po krótkiej chwili zwierzę dojdzie do wniosku, że skoro ty się nie boisz, to wszystko w porządku. Jeśli natomiast będziesz się bał bardziej niż on, tragedia gotowa.

— Tak jest, pani doktor.

— Bardzo ważna jest kwestia zaufania — mówiła dalej Marysia. — Jeśli koń ci ufa, pójdzie za tobą w ogień, jeżeli się ciebie boi, nie uzyskasz nic, choćbyś go zatkł batem na śmierć. Ludziom, nawet tym jeżdżącym często, wydaje się, że koń to samochód, i tak też go traktują. Nie mają pojęcia, jak wrażliwe, inteligentne i uczuciowe są to stworzenia. I na koniec jeszcze jedna rada, bądź dla nich sprawiedliwy.

— Nie bardzo rozumiem...

— Zdarzy ci się czasem, że poniosą cię nerwy, a wtedy krzykniesz, szarpniesz albo i uderzysz.

— I co wtedy?

— Nie wstydz się przeprosić. Podejź, połączysz, przytul i powiedz przepaszam. On ci wybaczy.

— Mówisz poważnie?

— Śmiertelnie. Nie znam innych stworzeń, które potrafią ludziom wybaczyć tyle, co te wspaniałe rumaki.

* * *

Jesień zdominowały konie. Kiedy tylko była chwila czasu, uciekaliśmy z Warszawy, żeby pojeździć. Nie muszę dodawać, że zawsze towarzyszyła nam Pointa. Suka bardzo polubiła te wyjazdy. Wystarczy, że w domu powiedziałem „Pointa, je-

dziemy na konie”, a pies z radości o mało nie wy-skakiwał ze skóry. Innym razem w absolutnym milczeniu podnosiłem ze stojąka kowbojskie siodło i efekt był taki sam, pies szalał ze szczęścia.

Jeździiliśmy tak często, że postanowiłem kupić prawdziwe westernowe siodło. Kosztowało od cholery pieniędzy, ale siedząc w nim, czułem się jak mały chłopiec, który marzy o tym, żeby zostać kowbojem, i któremu te marzenia się spełniają. Drodzy panowie: robotnicy, inteligenci, biznesmeni, urzędnicy, fizyczni, umysłowi i kto tam jeszcze... nie pozwólcie zdusić w sobie małego chłopca, którym tak naprawdę jesteście. Chłopca, który ma wspaniałe marzenia i szalone wizje.

Z powodu mojej nowej pasji koledzy z branży zaczęli stroić sobie ze mnie żarty. Najpierw nazywali mnie dżokejem, później kowbojem, a w końcu nawet koniokradaem. Szerzeze powiedziaławszy, schlebiali mi te ich drobne złośliwości. Byłem szczęśliwy, że popołudni i weekendów nie spędzałem w knajpach, na kolacjach czy imprez-kach, tylko w siodle, błędząc po puszczy z uko-chałą kobietą.

Nie powiem, zwłaszcza na początku ciężko się było wymówić. Przeważnie dzwonił jakiś znajomy z następującym tekstem:

— Cześć, Wojtuś. Jesteśmy w knajpie na Starym Mieście, wpadniesz?

— Nie dam rady.

— A co piszesz?
— Nic.
— No to dawaj. Jest Zośka, Mirek i Jacek z dziewczynami, zapowiada się niezła biba. Co ci zamówić?
— Nie przyjadę, jestem na koniach.
— Gdzie?
— W lesie.
— Do tej pory uznawałeś tylko konie mechaniczne...
— A teraz przerzuciłem się na żywe.
— Bez sensu. Zamiast siedzieć w przytulnym lokalu, tłuczesz dupę na jakimś roślinożercy.
— Też byś mógł, dobrze by ci zrobiło.
— Oj, Wojtek, Wojtek... staczasz się, chłopie. Z tygodnia na tydzień było takich telefonów coraz mniej, a gdzieś po miesiącu właściwie ustały.
Nieskromnie powiem, że radziłem sobie dobrze. Nadzwyczaj dobrze. Uchwyciłem rytm i równowagę, wstępnie opanowałem technikę i jak twierdziła Marysia, łapałem z końmi bardzo szybki kontakt. Nawet te trudne słuchały moich poleceń i dawały się łatwo prowadzić. Znajomi koniarze niejednokrotnie powtarzali, że jeszcze nigdy nie widzieli, żeby ktoś miał taki wrodzony dryg. Marek — nasz gościnnie lekarz — twierdził, że urodziłem się w siodle, a kiedy odwiedzałem nieznane mi ośrodki, wszyscy byli przekonani, że jeżdżę od wielu lat.

Konie to było to. Pierwszy raz w życiu czułem, że robię coś naprawdę dobrze, że pochłania mnie to bez reszty, nie zostawiając miejsca na kalkulacje w rodzaju: „No, niby jest okay, ale może spróbowałbym jeszcze czegoś innego”. Niczego innego nie chciałem próbować.

Samo przebywanie w stajni wprowadzało mnie w stan euforii. Czyszczenie, karmienie, wyrzucanie gnoju były czynnościami, które sprawiały mi wiele radości. Nigdy nie zapomnę pierwszych wyjazdów w teren i wolnych galopów po puszczańskich duktach. To wtedy, siedząc na koniu w towarzystwie Marysi i biegnącej dookoła Pointy, poczułem się naprawdę wolny.

Wolności nie dadzą ci własnościowe mieszkania i domy, drogie samochody czy konta pełne dolarów. Prawdziwą wolność może dać jedynie natura. Zrozumiałem to, mając na karku trzy i pół dychy. *Ale* — jakby skwitował Tadzio — lepiej późno niż wcale.

Któregoś razu późną jesienią wybraliśmy się z Marysią poza Warszawę. Prawdę mówiąc, od kiedy ją poznałem, nie pamiętam choćby jednego weekendu spędzonego w mieście. Moja pani doktor spytała:

— Chcesz zobaczyć prawdziwe kuhailany? Kuhailan był wyjątkowym typem araba, którego Beduini otaczali niemal nabożną czcią. Charakterystycznym zwołał się pustynną urodą, olbrzymią wytrzymało-

ścią w biegu i obowiązkowo gniadą maścią, a poza tym był to nieustraszony koń wojenny. Arabowie traktowali te konie jak największy skarb. Kochano je do tego stopnia, że gniadych kuhailanek niewiernym nawet nie pokazywano, nie mówiąc o ich sprzedaży.

Niezwykle trapiąca jest historia hrabiego Juliusza Dzieduszyckiego, który w 1845 roku po długiej i obfitującej w wiele niebezpieczeństw wyprawie sprowadził do swojej stadniny w Jarczowcach trzy pustynne kuhailańskie klacze. Nazywały się Gazella, Mlecha i Sahara. Jak głosi legenda, za samą tylko Gazellę hrabia zapłacił równowartość trzech porządnych koni w złocie. Było warto, gdyż wszystkie trzy klacze założyły niezwykle cenne w polskiej i światowej hodowli rodziny, które przetrwały do dziś. Podobno transakcja doszła do skutku tylko dlatego, że Dzieduszycki powoływał się na konseksję rodzinne ze słynnym Wacławem Rzewuskim, który od Arabów otrzymał tytuł emira. Najciekawsze, że owe trzy kuhailanki, Gazella, Mlecha i Sahara, nie były gniade, tylko sive za sprawą jakiegoś genetycznego mezaliansu. Gdyby te najszynniejsze w naszej hodowli klacze były gniade, hrabia Juliusz Dzieduszycki prawdopodobnie nigdy by ich nie zobaczył.

Po drugiej wojnie światowej konie arabskie będące w prywatnych rękach należały do rzadkości, ponieważ zgodnie z założeniami socjalizmu nie wolno było ich hodować. Wyjątkiem potwierdza-

jącym jedynie słuszną linię partii był pan Zygmunt Braur, który pomimo zakazów od lat sześćdziesiątych hodował araby. A kiedy odwiedzający go goście, spoglądając na pasące się konie, pytali, dlaczego wszystkie są gniade, miał zwyczaj odpowiadać: „U mnie nie apteka, nie ma różnych maści”.

Inna zabawna anegdota mówi o tym, jak do stadniny pana Zygmunta przyjechali szejkowie z Emiratów Arabskich i chcieli kupić jego najlepszą kuhailankę. Na pytanie szejka, ile chce za tę klacz, hodowca miał podobno odpowiedzieć: „Nie ma pan tyle pieniędzy, żeby ją kupić”.

Pan Braur był chyba ostatnim, który kochał czyste kuhailany i zgodnie z przykazaniami Mahometa gniade córki gniadych kuhailanek krył wyjątknie gniadymi synami gniadych kuhailanek. Oczywiście nikt się już tym nie przejmował, dzięki czemu konie sive i gniade zupełnie się wymieszały.

— Z tego, co wiem, czystych kuhailanów już nie ma — powiedziałem.

— W jednym miejscu są.

— Rozumiem, że jedziemy do emiratów albo do Egiptu.

— Zdziwisz się, w Bieszczady.

* * *

Wstyd się przyznać, ale nigdy nie byłem w Bieszczadach. Zwiedziłem pół świata, zaliczyłem chyba

wszystkie modne ostatnio kurorty, kąpałem się w Adriatyku, Morzu Śródziemnym, Czerwonym, Czarnego nie wspomnę. Wyeżdżalem na Wyspy Kanaryjskie, na safari i wielbłądem na Saharę. Nurkowałem na rafie, opalałem się na Sardynii i łowiłem ryby na Mauritiusie, a w Bieszczadach nie byłem. Cóż, ludzką rzeczą jest błądzić.

Minęliśmy „zielone wzgórze nad Soliną” i na wysokości Polany skręciliśmy w leśną drogę, kierując się na południe. Las gęstniał z każdą chwilą. Marysia jak gdyby od niechcenia wskazywała, którędy mam jechać. W przeciwieństwie do mnie świetnie znała te strony. Za czasów studenckich przyjeżdżała tu w każde wakacje i razem z parzą przyjaciół bląkała się od schroniska do schroniska.

— Wiesz, że w Bieszczadach są niedźwiedzie? — zaczęła tajemniczo.

— Wiem, wiem, i to podobno polarne. — Zrobiłem wystraszoną minę.

— Mówię poważnie. Parę lat temu jeździliśmy z koleżanką na hucutach w okolicach Czarnej...

— I nagle zaatakowało was stado wściekłych niedźwiedzi.

— Głupi jesteś. Właściciel stadniny opowiadał, że rok wcześniej niedźwiedź przedart się przez ogrodzenie i rozszarpał żrebaka.

— Gdzieś ty mnie przywiozła, coż to za mroczna i straszna kraina.

— Żebyś wiedział, można się tu natknąć na wil-

ka, a po upadku komuny odradza się populacja rysi.

— Wiem, że wszystkiemu winna jest komuna, ale nie bardzo rozumiem, jak jej upadek mógł wpłynąć na populację rysi?

— Już ci mówię. Po osiemdziesiątym dziesiątym roku roku rozwiązano prawie wszystkie PGR-y w rejonie.

— Ano tak, a jak powszechnie wiadomo, w PGR-ach hodowano rysie.

— Zamorduję cię kiedyś za te żarty ze wszystkich i ze wszystkiego. Nie, w PGR-ach nie hodowano rysi.

— To nic nie rozumiem.

— Po ich upadku ludzie masowo zaczęli opuszczać te strony i Bieszczady ponownie zdziczały, dzięki czemu rysie znalazły spokój, a ich populacja zaczęła się odradzać.

— Zobacz, to jak ten socjalizm miał się utrzymać, skoro nawet ryś był przeciwko kolektywizacji rolnictwa.

Przez jakiś czas wspinaliśmy się dosyć stromym podjazdem, wreszcie wjechałiśmy na rozległą poloninę. To, co zobaczyłem, spowodowało, że odebrało mi mowę. Niecały kilometr przed nami w dołince pomiędzy dwoma wysokimi wzniesieniami stał niewielki góralski domek. Z komina prosto do nieba unosiła się mgielka dymu. Nie dalej jak dwadzieścia metrów od domu płynął mały stru-

myczek, wokół którego zebrano się kilka koni. Pośrodku podwórka ktoś rapał drzewo. Panowała absolutna cisza, którą przerywały jedynie miarowe uderzenia siekiery. Patrzyłem i wiedziałem, że Bóg jest na świecie.

W tej niewielkiej, pięknie położonej u podnóża Otrytu stadninie pokazano mi konia, na widok którego ugięły mi się nogi. Mogę wymienić tu kilkanaście określeń, jak: oczarował, zachwycił, wywarł wrażenie, ale żadne z nich nie jest w stanie oddać tego, co wówczas poczułem. Nie był to wcale piękny arab. Wręcz odwrotnie, miał dużą głowę z prostym profilem, przebudowany zad i był raczej mało finezyjnej urody. Widziałem już wiele koni, w tym kilka championów świata, a mimo to on bił je wszystkie na głowę. Nie potrafię oddać słowami, co takiego było w tym zwierzęciu, ale nie boję się powiedzieć, że zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia. Hodowca mówił o nim tak:

— To piękny koń, choć może nie najpiękniejszy arab. Jest czystym kuhailanem o zjawiskowej ciemnogniadej maści. Był świetnym koniem wyścigowym. Na Służewcu startował w kilku ważnych gonitwach. Niestety, odniósł kontuzję i musiał zejść z toru.

— Ile ma lat? — zainteresowała się Marysia.

— Osiem.

— A jak ma na imię?

— Maciwoda.

— Piękne imię. Maciwoda — powtórzyłem bezwiednie, nie spuszczaając wzroku z konia.

Ogier jakby świetnie rozumiał, że o nim mowa, i chcąc się jak najlepiej zaprezentować, ruszył z miejsca pełnym galopem. Mój Boże, ziemia pod nami zadrżała. Koń wyprężył wszystkie mięśnie, odsadził ogon, tak że włosie okrywało mu zad, dumnie uniósł głowę i okrążał padok w takim tempie, w jakim spłoszone stado ucieka przed tygrysem. Po chwili wyprężył się jeszcze bardziej i przeszedł w kłus. Już nie biegł, lecz właściwie płynął, zawisając co chwila w powietrzu, następnie odbijał się od podłoża jak piłka i znów zawisł nad ziemią, jak gdyby prawa grawitacji w ogóle go nie dotyczyły. Wreszcie zatrzymał się na środku placu, jego głęboka pierś rytmicznie falowała, rozszerzył aksamitne chrapy, kilka razy głośno parsknął i stał tak wyniosły, niezwykcie dumny i szoki.

Kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, zamaretem z wrażenia. Przeszaszył mnie. Miał w oczach ogień i wydawał się niedostępny, wręcz niebezpieczny. Marysia przytuliła się do mnie, kiwając głową ze zrozumieniem. Nie musiałem nic mówić, moja mina mówiła sama za siebie. Doskonale wiedziała, że pokochałem tę stojącą przed nami bestię.

Maciwoda reprezentował w dziesiątym pokoleniu ród ogiera Krzyżyka — oryginalnego araba

urodzonego w 1869 roku, a w 1871 roku sprowadzonego do stadniny w Jarczowcach. Miałem przed sobą potomka konia, który ponad sto lat temu biegat po pustyniach Półwyspu Arabskiego. Niesamowicie. Cudownie byłoby zapanować nad takim stworzeniem.

— Czy można na nim pojeździć? — kulem żelazo, pólki gorące.

— To wykluczone — oznajmił bez namysłu gospodarz.

— Dlaczego? — nie dawałem za wygraną.

— Tego konia już nigdy nie da się dosiąść, a szkoda.

— Co z nim jest nie tak? — Marysia czekała na odpowiedź.

— Ludzie zrobili mu wielką krzywdę. Jest całkownie przetrącony psychicznie, bardzo nieufny i panicznie boi się człowieka. Na każdą próbę zbliżenia reaguje natychmiastową agresją albo ucieczką. Trudno do niego podejść, a co dopiero dosiąść. Dotychczasowi jeźdźcy lecieli z Mąciwo-
dy jak ulegatki, dwóch połamało sobie ręce i zebra, kilka razy cudem uniknęliśmy tragedii.

To była dla mnie woda na młyn.

— Ma pan siodło i ogłowie?

— Wojtek, nie wygłupiaj się. — Marysia naprawdę się wystraszyła. — Co chcesz zrobić?

— Nie bój się, tylko spróbuję.

Nie należałem do doświadczonych jeźdźców,

ale czułem, że jestem bezpieczny. W głębi duszy byłem absolutnie przekonany, że ten koń nic mi nie zrobi. Gospodarz długo oponował, w końcu ze strachem w oczach przyznał to, o co go poprosiłem.

Z pomocą syna pana Stanisława zagoniłem konia do boksu. Ponad dwadzieścia minut zajęło nam nałożenie mu kantara, gdyż przy każdej próbie zbliżenia ogier odwracał się do nas zadem i nerwowo grzebał przednim kopytem. W końcu w podstępny sposób dopięliśmy swego i mogłem wyprowadzić konia ze stajni.

Kiedy zatrzymałem się z nim na padoku, Mąciwoda wpadł w panikę. Próbował się wyrwać i za wszelką cenę uciec z powrotem do boksu. Nie puszczalem liny. Zorientował się, że się nie wyrwie, i parę razy stanął przede mną dęba, tuląc nos i próbując dosięgnąć mnie przednimi kopytami. Nigdy dotąd nie byłem w podobnej sytuacji, w ciągu sekundy uświadomiłem sobie, że w konfrontacji z tym koniem nie mam żadnych szans. Bałem się jak diabli i gdy chciałem już puścić linę i uciec, on nagle się uspokoił. Opuścił nisko głowę, oblizal dolną wargę i jak gdyby nigdy nic, zrobił trzy kroki w moją stronę. Przytuliłem się do jego szyi i staliśmy tak kilka minut. Niemal namacalnie czułem, jak z obu nas schodzi ogromne napięcie. Głaskałem go po szyi i po łbie, nie protestował. Ostrożnie założyłem siodło, delikatnie wsunąłem

do pyska wędzidło i dopiąłem popręg. Koń zachowywał się jak anioł. Niewiele myśląc, włożyłem nogę w strzemień i kiedy odrywałem od ziemi drugą nogę, chcąc wspiąć się na siodło, Maciwoda ruszył, jakby ktoś wystrzelił go z procy. Wisiałem u jego boku z nogą, która utkwiała w strzemieniu, rozpaczliwie trzymając się grzywy i przedniego łęku siodła. Ogier nabierał prędkości, a ja nie byłem w stanie nic zrobić. W pewnej chwili pochylił szyję, schował głowę między przednie nogi i odbił się do góry z czterech nóg naraz. Inaczej mówiąc, wykonał klasyczny barani skok, który często można zobaczyć na amerykańskim rodeo. Niestety, ja w przeciwnieństwie do kowbojów nie miałem za prawy na bykach. Daleko mi też do Batmana, dlatego wykonałem długi lot koszący, łamiąc przy lądowaniu żerdzie ogrodzenia. Szczęśliwie upadłem na niezmarznietą jeszcze ziemię. Świat wirował mi przed oczami, w plecach czułem palący ból i byłem święcie przekonany, że złamałem nogę. Była to cena, jaką zapłaciłem za swoją głupotę. Prawdę powiedziawszy, i tak niezbyt duża.

* * *

Leżałem obolały tuż przy kominku, a Marysia co kilkanaście minut zmieniała mi kompres na kostce lewej nogi. Wcześniej troskliwie obejrzała moje siniaki. Opiekowała się mną tak cudownie, że chę-

nie spadałbym z konia co tydzień. Ale poważnie mówiąc, nie było najlepiej, kostka spuchła mi do rozmiarów niewielkiej futbolówki, przybierając granatowo-siny kolor. Szczęśliwie — jak twierdziła moja pani — była tylko zwichnięta, a nie złamana. Odcinek lędźwiowy kręgosłupa bolał tak, że nie mogłem wziąć głębszego oddechu, a większe i mniejsze stłuczenia powodowały, że czułem się, jakby ktoś po mnie przejechał czółgiem.

W izbie pojawił się gospodarz z tacą, na której stały trzy kieliszki i tajemnicza butelka bez etykiety.

— Jak się pan czuje?

— Rewelacyjnie.

Pan Stanisław nalał i podał mi kieliszek.

— Panie Wojtku, wypij pan do dna, to dla kurażu.

Spełniłem prośbę gospodarza, wychylając po bozemu całą zawartość. Nie był to najlepszy pomysł, bo natychmiast poczułem, jakby ktoś od środka opalał mnie żywym ogniem. Ratując się, próbowałem wziąć głęboki oddech, ale kręgosłup i obolałe żebra natychmiast zaprotestowały. Przez chwilę myślałem, że się uduszę. Kiedy odrobinę mi ulżyło, wyszeptąłem ledwie słyszalnym głosem:

— Co to było?

— Wiśniówka swojej roboty. Aby nie za słaba?

— Pytał z troską nasz dobrodziej. — Bo mogła się jeszcze nie przegrzyć.

— Słaba, przecież ona ma z osiemdziesiąt procent...

— A powinna dziewięćdziesiąt, bo na czystym spirytusie. Mówiłem, że się nie przegryzła.

Gospodarz wyraźnie niepokieszony ustawił na stole naftową lampę, po czym zapalił knot i wyregulował wysokość płomienia. Zmierzczało, a w tym oddalonym od światła i ludzi domu nie było prądu.

W trójkę wzniesiliśmy toast za mój szybki powrót do zdrowia. Drugi kieliszek piłem już powoli z naleźnym szacunkiem.

— Panie Stanisławie, co tak naprawdę stało się temu koniowi?

— O, to długa i bardzo przykra historia.

— Może pan opowie — wtrąciła się Marysia — w końcu mamy cały wieczór. Bardzo pana proszę.

— No cóż, tak pięknej kobiecie nie sposób odmówić. Hmm... Od czego tu zacząć...

— Najlepiej od początku — dopingowałem z nadzieją w głosie.

Gospodarz uzupełnił kieliszki, dołożył do kownika, usiadł wygodnie na krześle i zaczął mówić.

— Konie arabskie w wieku trzech lat przechodzą tak zwaną próbę dzielności na torze wyścigowym. Mściwoda od zębienia zapowiadał się rewelacyjnie i kiedy skończył dwa i pół roku, stanąłem przed problemem oddania go do dobrego trenera. Wahatem się, bo trening sporo kosztuje, a nie

miałem wtedy zbyt dużo pieniędzy. I nagle pojawił się znany w branży hodowca z propozycją wydzierżawienia konia na dwa lata. W zamian za dzierżawę obiecywał oddać ogierka do trenera i pokryć koszty jego utrzymania na torze. Propozycja wyglądała interesująco, dlatego się zgodziłem. O tym, co się działo później, dowiedziałem się dopiero po falcie. Koń zamiast pójść jesienią do treningu, trafił do tego faceta i przestał u niego aż do wiosny, żeby było taniej. W marcu zawiózł go do stajni wyścigowej, a dwa i pół miesiąca później kazał wystawić do pierwszego wyścigu.

— Po dwuipółmiesięcznym treningu koń miał się ścigać? — nie dowierzała Marysia.

— Tak.

— Mówcie jaśniej, bo nie jestem fachowcem od wyścigów i jak na razie niewiele z tego rozumiem odezwałem się, nie bardzo wiedząc, o co im chodzi.

— Widzi pan — ciągnął gospodarz — na torze nie ma żartów, koń wyścigowy poddawany jest maksymalnym obciążeniom i dlatego musi być do tego wysiłku stopniowo i powoli przygotowywany. Minimalny czas treningu, zanim koń wyjdzie do startu, to siedem, no może sześć miesięcy. Inaczej można mu zrobić wielką krzywdę i fizyczną, i psychiczną.

— Aha... A ten rzeźnik puścił go do wyścigu po niecałych trzech miesiącach.

— Żeby do wyścigu — sprostował pan Stanisław. — Maciwoda wystartował w gonitwie próbnej.

— O rany. — Reakcja Marysi nie wróżyła nic dobrego.

— Przepraszam, czy moglibyście mówić jaśniej, bo znowu nie wiem, o co chodzi — poprosiłem zniecierpliwiony.

— Widzisz — zaczęła Marysia — trzyletnie konie zazwyczaj biegać od drugiej grupy. Jeśli wygrają drugą, przechodzą do grupy pierwszej i znowu, jeżeli uda im się wygrać pierwszą, przechodzą do najmocniejszych koni pozagrupowych. Istnieje jednak sposób, żeby te wyścigi w grupach omiść.

— Jaki?

— Jedne konie są lepsze, drugie gorsze, te najbardziej utalentowane trenerzy zapisują do gonitwy próbnej. Wygranie jej powoduje, że zwycięzca omija drugą i pierwszą grupę, i od razu staje się koniem pozagrupowym.

— I ten dusigrosz po dwuipółmiesięcznym treningu zapisał konia do najtrudniejszej gonitwy dla debiutantów? — Połączyłem fakty.

Gospodarz przytaknął ponuro.

— Zapisał go również dlatego, że w gonitwie próbnej nagrody są dwa razy wyższe niż w zwykłym wyścigu.

— I wtedy zdarzyło się nieszczęście? — bardziej stwierdziłem, niż spytałem.

— Prawdę mówiąc, sam już nie wiem.

— Ale co, był tak niedotrenowany, że nie wytrzymał?

— Wytrzymał.

— I przybiegł razem z końmi?

— Niezupelnie.

— Czyli nie wytrzymał? — nie dawałem za wygraną.

— Maciwoda wygrał ten wyścig o trzydzieści i pół długości, bijąc przy okazji rekord toru na dystansie tysiąca ośmiuset metrów.

— Niewiarygodne! — wykrzyknęła Marysia.

— I co było dalej?

— Natychmiast wskoczył na najwyższą półkę i musiał ścigać się z najlepszymi trzylatkami. Wychodził do startu jeszcze cztery razy i zawsze zajmował płatne miejsce, niestety, biegał z kontuzją.

— Jak to z kontuzją? — nie kryła oburzenia Marysia.

— Po pierwszym wyścigu ów wspaniały dzierzawca i nie mniej świetny trener doszli do wniosku, że Maciwoda jest za dobry, żeby trenować z arabami, i zaczęli go trenować z końmi angielskimi.

Tym razem nie musieli mi już niczego tłumaczyć. Konie pełnej krwi angielskiej zostały wyhodowane specjalnie do wyścigów. Jest to rasa, w której selekcja przebiegała wyłącznie pod kątem osiągniętych szybkości. Na dłuższych dystan-

sach, gdzie w grę wchodzi wytrzymałość, anglik nie ma z arabem żadnego szans, za to na torze wyścigowym jest odwrotnie. Folbluty pokonują każdą ćwiartkę — czyli pięćsetmetrowy odcinek — średnio o pięć sekund szybciej niż araby, więc trenowanie anglików razem z synami pustyni jest dla tych ostatnich zabójstwem.

— Za długo się nie natrenowali — kontynuował gospodarz — bo koń wkrótce poważnie zakulał. Ale tym panom szkoda było nawet dwustu złotych na rentgena. Gdyby zrobiono zdjęcie, okazałoby się, że Mąciwodzie poszły trzeszczki i należy zapominieć o startach na torze. Zamiast tego odstawiali go na chwilę, a gdy przestawał kuleć, wyjeżdżali na trening, żeby sprawdzić, czy już jest dobrze. Gdy znów zakulał, jeszcze raz go odstawiali i po upływie dwóch tygodni próbowali ponownie. I tak w koło Wojtek.

— Niszcząc go w ten sposób psychicznie — uważała Marysia.

— To był dopiero początek. Każda taka próba była dla konia niezwykle bolesna i wkrótce zaczął się bronić. Najpierw odmawiał przyjęcia wędzida, później nie pozwalał się osiodłać, doskonale zdając sobie sprawę, że za chwilę znowu będą sprawdzać, czy przypadkiem nie wyzdrowiał. Każdy, nawet najmniejszy opór natychmiast łamano biciem. Niestety, Mąciwoda to bardzo dumny koń, który nie pozwolił się złamać, i dlatego bito go zawsze i za

wszystko. Baty, które dostawał, tak skutecznie przekonały go o złych intencjach ludzi, że po niedługim czasie na widok człowieka odwracał się zadem i z całej siły uderzał w jego stronę tylnymi kopytami. Wtedy jego opiekunowie zaczęli z nim rozmawiać za pomocą widel. Uderzali i dźgali weń za każdym razem, gdy uznali, że coś jest nie tak, a on miotał się po całym boksie z szaleństwem w oczach. Kiedy wreszcie doszło do nich, że już nigdy nie wystartuje i nie zbija na nim fortuny, rzucali w niego widłami dla czystszej przyjemności.

— Matko Boska — nie wytrzymała Marysia.

— Jak go odebrałem, naliczyliśmy na jego ciele ponad sto blizn, niektóre tak głębokie, że można było wsadzić w nie palec. Doktor szył go trzy dni, podając wcześniej potrójną dawkę domosedanu, bo inaczej nie dałby do siebie podejść. Sami widzicie, ten zwierzak przeszedł tyle, że już nic nie da się z nim zrobić.

Zapadła długa cisza. Wypowiedziane przed chwilą słowa ciągle dźwięczały mi w uszach. Nie mogłem uwierzyć, że ludzie potrafia być tak okrutni i brutalni. Podczas gdy Marysia ocierała łzy rękawem swetra, ja pałałem żądzą zemsty. Nie może być inaczej — znajdę skurwysynów i powywiepszam na drzewach.

— Panie Stanisławie, czy mógłby mi pan podać nazwiska tych dżentelmenów?

— Musi mi pan wybaczyć, ale w pewnym wie-

ku człowiekowi zależy już tylko na spokoju. Zresztą, nie sądzę, żeby pan ich kiedykolwiek spotkał, chociaż jeden z nich raczej rzuca się w oczy.

— Z jakiego powodu?

— Na przedramieniu ma wytatowaną podobiznę Marilyn Monroe.

Rozdział X

Po powrocie do domu ból pleców nie dawał za wygraną. Musiało mi się coś poprzestawiać w kręgosłupie. Cierpienie fizyczne nie było dla mnie niczym nowym. Przez lata treningów niejednokrotnie się zdarzało, że odnosiłem mniejszą lub większą kontuzję. Najczęściej na skutek sparin-gów miałem poobijane przedramiona i piszczele. Owszem bywało, że zarobiłem kopa w szczękę czy w plot słoneczny, ale jak to mówią, gdzie drwa rabia, tam wióry lecą. Do tej pory kręgosłup nigdy nie dawał mi się we znaki, dlatego ostatnie objawy były niepokojące. Większość urazów zwykłem traktować na zasadzie samo przejdzie, ale tym razem jakoś nie przechodziło. Po dwóch dniach leczenia i stękania postanowiłem udać się po pomoc. Marysia namawiała mnie, żebym odwiedził jej znajomego, który był rehabilitantem w Konstancinie, ja jednak wybrałem poleconego mi przez Komandosa domorośłego szamana.

Niestety, Marysia miała dyżur i musiałam pojechać do niego sam. Mieszkał na wsi mniej więcej 70 kilometrów od Warszawy. Siedząc w mercedesie, ledwo oddychałem z bólu. Droga nie była specjalnie skomplikowana i po godzinie byłem już na miejscu.

Pan Kazimierz przyjął mnie w gabinecie wielkości niezbyt dużej toalety. Był dobrze po siedemdziesiątce, mały, drobniutki, suchutki — klasyczny kościany dziadek. Na jego widok pomyślałem, że jeśli nawet mi nie pomoże, to na pewno nie zrobi krzywdy.

Kazał mi zdjąć bluzę i siedząc na stołku, pochylić się. Delikatnie przejechał palcami wzdłuż mojego kręgosłupa.

— Ma pan wysunięte cztery kręgi... Czwartą, piątą, siódmy i ósmy — stwierdził po chwili.

— Wiem, że coś jest nie tak, bo ledwo oddycham. Co teraz?

— Trzeba będzie nastawić.

— Słyszałem, że to cholernie boli.

— Może nie będzie tak źle — pocieszał znachor, cały czas delikatnie masując okolice kręgosłupa. Jego kościaste palce ledwie muskały skórę. — Wyśkakiwał pan przez okno od kochanki? — dopytywał się.

— Rozczaruję pana, spadłem z konia.

— No proszę, ułan mi się trafił.

Miałem wrażenie, że coś jakby strzeliło, ale mu-

siąto mi się wydawać, bo pan Kazimierz nie zwiększył nacisku.

— Ma pan swoje konie? — zagadnął ponownie starszek.

— Skąd, mieszkam w Warszawie, a jeżdżę tylko w weekendy.

Znowu wydawało mi się, że cicho chrupnęło, ale i tym razem nie poczułem żadnego nacisku.

— Może kiedyś kupi pan sobie konia.

— Tak, i pewnie postawię go na balkonie.

— Kto wie — zakończył filozoficznie znachor i usiadł naprzeciwko mnie. — Gotowe — odezwał się po chwili.

— Co gotowe? — Głupiej zapytać nie mogłem.

— Kręgi... Są na swoim miejscu.

Spojrzałem z niedowierzaniem, przecież nastawianie kręgów to bolesna operacja...

— Jakim cudem mają być na swoim miejscu, skoro nawet mnie pan nie dotknął?

— Proszę wstać i sprawdzić.

Zrobiłem, co kazał.

— Niech pan się pochyli.

Wykonałem.

— A teraz proszę skrócić tułów w jedną i w drugą stronę... I jak?

— Nie mogę uwierzyć, pięć minut temu ledwo wysiadłem z samochodu, a teraz śmiało mógłbym wskoczyć na konia. Jak pan to zrobił, że nic nie poczułem?

— To nie ja, jestem tylko skromnym wykonawcą, niech pan podziękuję temu u góry.

— Najpierw chciałbym panu zapłacić. Ile się należy?

— Tyle, ile uważa pan za stosowne. Nigdy nie wymieniam żadnej kwoty, u mnie pacjent decyduje, ile płaci i czy w ogóle.

— Ale chociaż w przybliżeniu... — Mimo wszystko próbowałem wybadać grunt.

— Już panu powiedziałem, zostawi pan, ilę chce, albo nie zostawi pan nic. Nie ma to tak naprawdę żadnego znaczenia.

— Jak to nie ma znaczenia, z pańskimi umiejętnościami mógłby pan być niezwykle bogatym człowiekiem.

Znachor spojrzął mi w oczy i szczerze się uśmiechnął.

— Młody człowieku — odezwał się rozbawiony — bogactwo jest stanem umysłu, a nie stanem konta.

* * *

Leżałem na gorących otrębach pszennych, kiedy weszła Marysia. Leżałem, bo pan Kazio zaordynował mi następującą kurację: kilogram pszennych otrębów zalać rozpuszczoną w wodzie solą leczniczą z dodatkiem octu. Później otręby podgrzać w piekarniku, a gorące przesytać do niewielkiej

poszewki. Teraz wystarczy już tylko położyć się na gorącą poduszkę i położyć około pół godziny. Efekt mrowiany. Na przesilone plecy, bóle karaku czy przewiane mięśnie naprawdę nie ma nic lepszego.

— No, jak tam? — rzuciła od progu.

— Świetnie — zapewniłem. — Czuję się jak nowo narodzony.

— Zobacz, Pointa — Marysia głaskala psa — rano umierał z bólu, a teraz udaje młodego boga.

— Ej, dziewczyny, co wy wiecie o prawdziwych mężczyznach...

— Może nam opowiesz?

— Innym razem, kochanie, zrób herbatę.

Marysia ruszyła do kuchni, a ja odpłynąłem myślami w zupełnie inną stronę. Dostałem ostatnio od życia bardzo poważną lekcję i należało wyciągnąć z niej wnioski. Nigdy nie byłem typem bohatera idącego z bagnietem na czołgi, ale też nie należałem do ludzi, którzy zbyt łatwo się zrażają. Lata spędzone na treningach karate zahartowały mojego ducha i wzmocniły charakter. I pewnie dlatego jedyna rzecz nie dawała mi spokoju.

Marysia postawiła szklanki z herbatą na stoliku obok łóżka.

— Słuchaj, to nie może tak być.

— Co? — Pani mojego serca była wyraźnie zdeorientowana.

— Chodzi o Mąciwodę.

— Daj spokój, nic nie poradzisz, nie widziałam jeszcze tak zepsutego konia.

— Właśnie... Jeżeli konia można tak zepsuć, to musi istnieć również jakiś sposób, żeby go naprawić.

— No, nie wiem...

— Mówię ci, to jest możliwe. Nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać, ale pewnie są ludzie, którzy to potrafią. Czytałaś *Zaklinacza koni*? Kobieta przez całe Stany wiezie konia do najlepszego fachowca i ten mu pomaga.

— Czytałam, ale to fikcja literacka.

— Fikcja... — Usiadłem na tóżku, zapominając o gorącej poduszce. — Wielokrotnie powtarzałam, że koń to niezwykle wrażliwe stworzenie — mówiłem rozmocjonowany — że można do niego dotrzeć, że dobrze traktowany daje się do wielu rzeczy przekonać. Uwierz mi, można go naprawić, żebyś tylko wiedział, jak to zrobić.

Przez kolejne dwa dni nadrabiałem zaległości w pisaniu. Musiałem dokończyć scenariusz mało porywającego programu rozrywkowego i nagryzmolić cotygodniowy felieton do jednej z gazet. Od kiedy miałem Pointę, nawet pisanie było przyjemniejsze. Zawsze gdy siadałem do komputera, suka wchodziła pod biurko i zwijiała się w kłębek. Działała jak poduszka ciepła, dlatego chętnie operiałem o nią nogi i pisałem tak całymi godzinami.

Byłem w trakcie drukowania tekstów, gdy zabręczał telefon.

— Dalej myślisz o tym zaklinaczu? — Usłyszałem głos Marysi.

— A co? — zapytałem inteligentnie.

— Rozmawiałem o tym w pracy i okazuje się, że Zośka zna jakiegoś dzikusa, który żyje razem z końmi gdzieś koło Suwałk.

— I co z tego? — Inteligentny poziom moich pytań specjalnie się nie podniósł.

— W branży opowiadają o nim legendy, facet pędzi życie na odludziu, hodując i trenując konie, podobno ma z nimi niewiarygodny, wręcz metafizyczny kontakt, o którym zwykłym koniarzom nawet się nie śniło. Może to jest właśnie ktoś, o kogo ci chodzi...

— Niech Zośka zadzwoni, że do niego jadę — powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

* * *

Życie zaczęło przypominać film. O dziwo, pan Stanisław zgodził się bez problemu. Nie było odwrotu, załatwiłem kilka drobnych spraw, Pointę zostawiłem u Marysi, pożyczylem od kumpla terenowy samochód i ruszyłem. Jechałem teraz w kierunku Suwałk, ciągnąc za sobą przyczepę z Mąciwodą w środku, i miałem poważne wątpliwości, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Być może

zwariowałem, ale towarzyszyło mi poczucie, że wreszcie robię coś ważnego.

Dojechać do tego faceta było rzeczą niemożliwą. Błądziłem przynajmniej dwie godziny mimo dokładnych map i instrukcji Zośki. Gdybym chciał się schować przed komornikiem, nie byłbym w stanie znaleźć większego odludzia. Na szczęście się udało. Ukryty między zalesionymi pagórkami Suwalszczyzny, nad samą Czarną Hańczą stał zielony domek. Po dwóch stronach domu wybudowano stodołę i stajnię. Całość tworzyła dosyć efektowny dziedziniec. Dwadzieścia, może trzydzieści metrów za budynkami leniwie wiała się rzeka. Po obu stronach dojazdowej drogi rozciągały się łąki, na których pasło się kilka koni. Na ich widok Maciwoda — znużony z pewnością wielogodzinną podróżą — radośnie zarżał. Konie odpowiedziały chórem i wjeżdżaliśmy tak serdecznie witani.

Na dziedzińcu pojawił się mężczyzna, który miał odmienić życie, jak się później okazało, nie tylko konia. Miał nie więcej jak metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, był średniej budowy ciała, niby niepozorny, ale jedno spojrzenie wystarczało, aby stwierdzić, że jest to ktoś wyjątkowy. Takiego błysku w oku, jak miał on, nie mają zwykli zjadacze chleba. Nie byłem w stanie określić jego wieku... Na pewno młody, zaryzykowałbym, że gdzieś koło czterdziestki. Nośnię długie, tak niemodne już dzisiaj włosy. Kiedy go później o to zagadnąłem, odpowiedział:

— Tyłu łysych i wygolonych jeździ teraz po miastach, że dla równowagi jeden z długimi piórami nie zaszkodzi.

Emanował spokojem, który udzielał się całemu otoczeniu. Nie miałem wątpliwości, że musiał dawać koniom, a może nie tylko im, ogromne poczucie bezpieczeństwa. W oczach miał niespotykaną łagodność, ale coś mi mówiło, że lepiej z nim nie zadzierać. Pierwszy raz spotkałem kogoś żyjącego w takiej harmonii z otaczającą naturą. Stanowił część stworzonego przez siebie świata. Bo było dla mnie jasne jak słońce, że on sam wybrał to miejsce, sposób, w jaki chciał żyć, i doskonale wiedział, co robi.

— Dzień dobry panu — przywitałem się, otwierając drzwi samochodu.

— Cześć. Mów mi Kita. — Wyciągnął do mnie rękę.

— Cześć. — Ucisnąłem mu dłoń zdziwiony nieco tempem, w jakim przeszliśmy na ty. Co za gość? Ani imienia, ani nazwiska, tylko Kita. Niech będzie Kita. — Wojtek. — Nasze spojrzenia się spotkały. Taki blask w oczach mógł mieć jedynie ktoś całkowicie wolny. Pewny i łagodny uścisk dłoni przekonał mnie, że się nie mylę.

— Miło, że wpadłeś. Najpierw wyprowadzimy konia z przyczepy, a potem pójdziemy coś zjeść.

— Boję się, że nie będzie to najprzyjemniejsze zajęcie, pakowaliśmy go tam przynajmniej dwie godziny.

— Poradzimy sobie. — Po raz pierwszy się uśmiechnął. — Jak koń ma na imię?

— Mąciwoda.

— Mąciwoda — powtórzył. — Jeśli tak się nazywa, to nie może to być zwykły koń. No, pokaz się mały — mówiąc to, odpiął plandekę, a później położył na ziemi trap przyczepy.

Koń był mokry ze zdenerwowania, zaczął przestępować z nogi na nogę, tupiąc coraz głośniej o podłogę przyczepy. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Kita zdawał się tym zupełnie nie przejmować, stanął za koniem, nie dalej jak pół metra od jego kopyt i mówiąc „Dobrze, już dobrze nie denerwuj się”, demontował zabezpieczenie. Mąciwoda musiał zdziwić fakt, że mężczyzna nie ucieka w popłochu, tylko majstruje w najlepsze zaraz za jego zadem. Nie wiem, czy z tego powodu, ale zdecydowanie się uspokoił. Patrzyłem na faceta z rosnącym podziwem, a on jak gdyby nigdy nic wyprowadził konia z przyczepy i głaskając go po grzywie, poszedł z nim do stajni.

Mieszkał bardzo skromnie. W domu znajdowały się jedynie niezbędne do życia sprzęty. Proste drewniane szafy, półki, stoły, krzesła. Specjalnie na mój przyjazd uwędził złowione w rzece ryby i je-dliśmy je, popijając dobrym winem, którego odpowiedni zapas wzięłem ze sobą.

— Dawno kupiłeś tego konia? — zapytał.

— To nie jest mój koń.

Zdziwienie odmalowało się na jego twarzy.

— Mieszkam w Warszawie w bloku, nie mam koni.

— A Mąciwoda? — dopytywał się gospodarz.

— Koń jest własnością znajomego hodowcy. Niedawno dosyć ostro mnie poturbował. Jest po strasznych przejściach, a ja tylko chcę mu pomóc.

Po spojrzeniu, którym mnie obrzucił, wywnioskowałem, że ostatnie zdanie wywarło na nim spore wrażenie. Zaryzykowałbym nawet, że złapałem u Kity parę punktów.

— Opowiedz, co się stało. — Podniósł butelkę i uzupełnił kieliszki.

Powtórzyłem mu wszystko, co mówił nam pan Stanisław. Słuchał z wielkim zainteresowaniem, a kiedy skończyłem, przez chwilę milczał. W końcu pokiwiał głową i powiedział:

— Trzeba iść spać, jutro czeka nas dużo roboty.

* * *

Wyprowadził Mąciwodę na okrągły wybieg, taki sam, jaki czasem widuje się w westernach, i puścił go wolno z uwiąz. Koń natychmiast znalazł się przy ogrodzeniu jak najdalej od człowieka, a że nie mógł się schronić w żadnym rogu, nerwowo galopował po okręgu. „No — pomyślałem — zaraz zobaczę mistrza w akcji”. Tymczasem Kita usiadł na środku wybiegu, podciągnął kolana pod

brodę i siedział. Minęło pięć, dziesięć, piętnaście minut, a on siedział bez ruchu, niespecjalnie nawet patrząc na to, co robi koń. Nie będę ukrywał, że trochę się zdziwiłem. Miałem go za wielkiego fachowca, a tyle to i ja potrafię, wielka mi rzecz usiąść i siedzieć.

Minęła godzina i nic się nie zmieniło, może poza tym, że najpierw koń biegał w kółko galopem, później przeszedł w kłus, a teraz chodził stępa. Po kolejnych piętnastu minutach Maćiwoda się zatrzymał i nie spuszczał wzroku z postaci mężczyzny siedzącego pośrodku wybiegu. Po następnych dziesięciu ostrożnie wykonał dwa kroki w stronę Kity. A to skubaniec... Nareszcie rozumiałem, o co mi chodzi. Przyzwyczajał konia do swojej obecności, pokazując jednocześnie, że z jego strony nic mu nie grozi. Mało tego, siedząc tak, rozbudzał w koniu naturalną ciekawość, która powodowała, że zwierzę zapomniało o strachu. W końcu nie codziennie widywał przed sobą człowieka w pozycji embrionalnej. I to działało. Z każdą minutą Maćiwoda podchodził coraz bliżej i w pewnej chwili stanął tuż za jego plecami. Kita ani drgnął. Wstrzymałem oddech. Nie miałem wątpliwości, że ten facet nerwy musi mieć ze stali. W ogóle się nie bał. Koń mógł go teraz wziąć pod siebie i strątować, nie zdążyłby kiwnąć palcem. Bałem się poruszyć, co tam poruszyć, bałem się oddychać. Maćiwoda opuścił łeb, jakby miał zamiar ugryźć Kitę w kark, ale zamiast

tego zaczął obwąchiwać jego włosy. Koniarz delikatnie uniół rękę i pogłaskał konia po pysku. Po raz pierwszy spojrział mu w oczy, złapał za kantar i delikatnie podniósł się z ziemi. Maćiwoda zdradzał objawy paniki, ale momentalnie został uspokojony. Kita zaczął go głaskać. Najpierw po szyi i po kłębie, przechodząc powoli w bardziej neuralgiczne rejony. Dotykał uszu, grzbietu, zadu, przejechał ręką po brzuchu, następnie jego ręka powędrowała w kierunku słabizny. Jest to miejsce, które najczęściej atakują wilki, i koń chroni je szczególnie. Maćiwoda ani drgnął. Kita poprosił konia o podanie kolejno wszystkich nóg, a gdy już osiągnął to, co chciał, stanął przy lewej łopacie zwierzęcia, złapał za grzywę, delikatnie podskoczył i przewiesił się przez jego grzbiet. Maćiwoda stał jak zaczarowany, a ja jak zaczarowany parzyłem, nie wierząc własnym oczom.

Przez kolejne dwa dni obserwowałem, jak Kita pracuje z koniem przy wykorzystaniu liny. Patrząc na niego, zaczynałem rozumieć, dlaczego jest taki dobry. Posiadał kombinację cech, która dla zwykłego śmiertelnika jest nieosiągalna. Był łagodny, a zarazem bardzo odważny i zdecydowany, spokojny, a jednocześnie pewny, cierpliwy, ale kiedy zachodziła potrzeba, błyskawiczny w działaniu. Na ogół cechy te wzajemnie się wykluczają. Bo jeśli ktoś ma w sobie łagodność, to na 99 procent w działaniu jest ostatnią pierdołą. Z kolei, jeżeli jest

odważny i zdecydowany, to nie ma w nim cierpliwości. Ten człowiek miał w sobie to wszystko. Intrygowało mnie, ile było w tym daru niebios, a ile pracy nad sobą. Pewnie sporo, bo ludzie tacy się nie rodzą.

— Podaj mi bat — wyrwał mnie z zamyślenia.

Natychmiast spełniłem jego prośbę.

— Spróbujemy go teraz odczulić.

— A nie mógłbyś trochę jaśniej? — poprosilem.

— Temu koniowi człowiek kojarzy się jak najgorzej, a już człowiek uzbrojony w jakiś przedmiot jest straszniejszy od największego lwa. Postaramy się zmienić to przekonanie, a przynajmniej je osłabić. — Mówiąc to, wyciągnął zza pleców bat i uniósł go na wysokość ramienia.

Koń niemalże oszalał ze strachu i ze wszystkich sił próbował się wyrwać. Kiedy jednak zorientował się, że nie da rady, bo człowiek trzymał linę żelaznym uchwycem, zaczął stawać dęba i atakować przednimi nogami. Kiedyś już to przerabiałem. Ki-ta schował bat za plecy i Mąciwoda uspokoił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ten facet naprawdę był klasą sam dla siebie. Wszyscy ko-niarze, których znałem, uciekali by w tej sytuacji, gdzie pieprz rośnie, a on stał niewzruszony, przemawiając łagodnie do rozwiścieczonego zwierzęcia. Nie miałem cienia wątpliwości, że doskonale wie, co robi, ale i tak nerwy musiał mieć ze stali.

Ponownie wyciągnął zza pleców bat, a koń za-

reagował jak poprzednio. Za trzecim razem było już dużo lepiej. Kita zbliżył się do konia i z najbliższej odległości zaczął dotykać go batem. Najpierw poszył, potem po przednich kończynach i łopatkach. O dziwo, Mąciwoda nie uciekał. Kiedy przejechał batem po grzbiecie, koń zaczął kulcić się ze strachu.

— Widzisz — odezwał się Kita — to zostało mu po widłach. Ze strachu, że zaraz będą bić, nie wie, co z sobą zrobić, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Spokojnie, koniku, pokażemy ci, że człowiek niekoniecznie musi ranić.

Po piętnastu minutach nasz guru machał batem obok boków konia, strzelał mu nad głowę, a ten stał sobie w najlepsze, leniwie oblizując dolną wargę.

Gospodarz wykazywał wobec mnie ogromną cierpliwość, bo bez przerwy zasypywałem go setkami pytań. Chcąc złagodzić to wrażenie, powiedziałem, gdy zasiedliśmy do kolacji:

— Nie gniewaj się, że zadaję ci tyle pytań, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć i nauczyć. Takich ludzi jak ty nie spotyka się codziennie.

— Nie ma sprawy, pytaj o wszystko, nie robię z tego żadnej tajemnicy. Wręcz odwrotnie, jeśli zdołam cię czegoś nauczyć, to tylko lepiej dla koni.

— Obserwowanie cię przy pracy jest niesamowitym przeżyciem. To, co robisz z końmi, to prawdziwa magia. Czy potrafisz nauczyć je wszystkiego? — Otworzyłem dwie butelki piwa.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. — Po-
ciągnął tyk. — Ale z mojego punktu widzenia du-
żo ważniejsze jest to, czego ja mogę się nauczyć
od koni.

Zaskoczył mnie. Nie takiej odpowiedzi się spo-
dziewałem.

— Jak to ty się masz od nich uczyć? Czego? —
Byłem zupełnie zbity z tropu.

— A choćby właściwego podejścia do świata.
Jeśli konia nakarmisz, napoisz i wypuścisz na pa-
stwisko, to on nie zamartwia się o to, czy jutro też
będzie tak samo. Po prostu cieszy się życiem. A co
robi człowiek? Bez przerwy zaprzęta sobie głowę,
jak ma żyć jutro, za rok, za dwadzieścia lat. Cati
czas planuje wyjątknie przyszłość, a terazniejszość
przecieka mu przez palce. Poza tym ucze się od
nich prawdziwego odczuwania. Tutaj miłość jest
miłością, przyjaźń przyjaźnią, a za serce dostajesz
serce, podczas gdy u ludzi wdzięczność jest towa-
rem coraz bardziej deficytowym.

* * *

Kolejne dwa dni spędziłem, trenując i bawiac się
z koniem. Kita pokazywał mi przeróżne ćwiczenia
wykonywane z ziemi za pomocą liny. Z początku
szło mi nieporadnie, ale nadrabiałem zapatem i jak
twierdził mistrz, robiłem szybkie postępy. Po kilka
godzin dziennie kręciłem się z Mąciwodą po okrag-

tym wybiegu, zatrzymując się, ruszając, zmieniając
kierunki, wymachując liną i wykonując sto innych
poleceń. Nie będę czarował, że wiedziałem, o co
w tym chodzi, ale widziałem już mistrza w akcji
i byłbym ostatnim kretyńcem, podając w wątpli-
wość jego metody.

Odszedłem od araba na odległość czterometro-
wej liny. Stałem twarzą do niego i delikatnie
pociągając za linę, powiedziałem:

— Mąciu, chodź do mnie.

Koń ruszył w moim kierunku, pokonał dzie-
ląca nas odległość i zatrzymał się tuż przede mną.
Opuszcł nieznacznie szyję i położył mi głowę na ra-
mieniu.

— Widziałeś.. widziałeś? — Spojrzałem w kie-
runku mojego nauczyciela. — To się nazywa za-
ufanie.

— Nie tak szybko. — Kita oparł się nogą o żerdź
ogrodzenia. — Na razie to koń zaufał tobie, ale do
pełnego zaufania droga jeszcze daleka.

Znowu zbił mnie z tropu. O co mu chodzi, do
cholery?

— To co mam jeszcze zrobić? — Nie kryłem
irytacji.

— Nie denerwuj się — odpowiedział spokojnie.
— Jesteś w połowie drogi. Żeby było pełne zaufa-
nie, musi obowiązywać w dwie strony. On już ci
zaufał, może nadeszła pora, żebyś ty zaufał jemu.

— Jak to zrobić? — spytałem instynktownie.

— Nie wiem, czy jesteś już na to gotowy.

— Jestem — stwierdziłem zdecydowanie, nie mając cienia świadomości, na co się porygam.

— W porządku. — Kita podszedł do konia. —
Daj linę.

Zrobiłem, co kazał, i stanąłem z boku.

— A teraz połóż się pod nim.

— Słucham? — Nie wierzyłem własnym uszom.

— Połóż się pod nim. On już jest gotowy i nie zrobi ci krzywdy. Pytanie, czy ty jesteś gotowy, żeby mu zaufać?

— Jestem — zapewniłem. Wstyd walczył we mnie ze strachem i wygrał. Nie miałem wyjścia, prawdziwy mężczyzna, za jakiego się miałem, nie może stehórzyc w takiej sytuacji. Stanąłem z boku araba, pogłaskałem go po grzbiecie, uklęknięciem i położyłem się między jego nogami. Ktoś mądry powiedział kiedyś, że nie tak łatwo jest umrzeć, i pewnie tylko dlatego nie umarłem wtedy ze strachu. Maciwoda opuścił łeb, przyjrzał się czemuś dziwnemu, co leżało pod nim i przestał się tym specjalnie interesować.

— O to mi chodziło — przerwał ciszę Kita. —
Do tej pory koń zawsze zależał od ciebie. Teraz ty całkowicie zależysz od niego i to jest dopiero pełne zaufanie.

Strach gdzieś odpłynął i poczułem dziwną więź, która połączyła mnie z tym niesamowitym koniem. Teraz mogłem leżeć pod nim godzinami, bo do-

tarto do mnie, że jeśli ja nie zrobię mu nic złego, on nigdy mnie nie skrzywdzi. Za serce dostaniesz serce, przypomniałem sobie słowa Kity. Od początku chciałem Maciwodzie ofiarować swoje, ale nie wiedziałem, jak to zrobić.

Ciężko było mi żegnać się z tym szczególnym człowiekiem. W głowie kłębiło mi się mnóstwo pytań, które chciałem mu jeszcze zadać, i to nie tylko na temat koni. Może innym razem...

— Dzięki za wszystko — uściśnąłem mu rękę — nie zapomnę tych paru dni do końca życia.

— Szkoda, że nie jesteś z końmi na co dzień, masz do tego spory talent.

Komplement z jego ust wywarł na mnie duże wrażenie i żeby nie popaść w samouwielbienie, zawazyłem zgodnie z prawdą:

— Robiłem tylko to, co mi kazałeś. Jeszcze raz dziękuję. Dzięki tobie naprawdę pokochałem konie.

Uśmiechnął się.

— Nie jest sztuką kochać konie, sztuką jest sprawić, by konie pokochały ciebie.

* * *

Odwoząc araba, zajechałem po Marysie. Jak do-
brze było ją znowu zobaczyć. Okazało się, że miała dwa dni wolne. Niewiele myśląc, zapakowaliśmy Pointę do samochodu i ruszyliśmy w stronę biesz-

czadzkich ostępów. Przez całą drogę nie mogliśmy się nagadać, a ja dodatkowo nie mogłem się napatrzyć. Wyglądała pięknie. Dzięki niej — mimo późnej jesieni — w samochodzie panowała wiosna. Jak ja się za nią stęskniłem.

Kiedy zamierzalem „wypakować” konia w jego macierzystej stadninie, niczym duch pojawił się pan Stanisław.

— I co, nie dało się z nim nic zrobić? — zapytałem z optymizmem właściwym dla reprezentantów polskiej wsi.

— To już sam musi pan ocenić — oświadczyłem bez emocji i podszedłem do samochodu.

Wyjąłem z jeepa kowbojskie siodło i zarzucałem Mąciwodzie na grzbiet, założyłem ogłowie, dopiąłem popręg, wsiadłem i pojechałem.

Hodowca stał jak zamurowany. Odjeżdżając, slyszalem jeszcze, jak mówił:

— Pani Mario, czterdzieści lat hoduję konie, ale coś takiego widzę pierwszy raz w życiu. Cholera...

Kim tak naprawdę jest ten pan facet?

— To zaklinacz koni — odpowiedziała tajemniczo Marysia, a w jej głosie slychać było dumę.

Rozdział XI

Powroty do domu z tygodnia na tydzień stawały się coraz trudniejsze. Wyjeżdżaliśmy w Bieszczady, na Suwalszczyznę, do Puszczy Białowieskiej. Zagląaliśmy w Beskidy i na Podlasie. Bywaliśmy w tak pięknych miejscach, że w porównaniu z nimi Warszawa przywodziła na myśl jakiś senny koszmar. Nagle dostrzegłem ten okropny hałas i potworny smród wydobywający się z tysięcy rur wydechowych. Zaczęła mnie irytować bezustanna gonitwa za wszystkim. A najgorsza była trudna do wythumaczenia wszechogarniająca agresja. Kiedy zatrzymywałem się w jakimś zapomnianym miasteczku w Polsce Ce albo Polsce Zet i pytałem o drogę, ludzie mówili dzień dobry, uśmiechali się, starali pomóc, nierzadko żartowali. W Warszawie, wizytówce kraju, stając na każdym światełku, widziałem marsowe, zacięte, ponure twarze, zaciśnięte zęby i wzrok, który zabijał. Odnosiłem wrażenie, że kierowcy wręcz na siebie warczą. To, w czym, nie

skarżąc się, żyłem przez ostatnie kilkanaście lat, stało się teraz jakąś ponurą abstrakcją. Za każdym razem, gdy mijaliśmy rogatki, wracając z kilkudniowej eskapady, mówiłem:

— Marysiu, oto przed nami największy ogród zoologiczny w tym kraju.

W pracy też nie było najlepiej. Owszem pisałem, wywiązując się sumiennie i terminowo ze wszystkich zobowiązań, ale brak było w tym jakiegokolwiek entuzjazmu. Właściwie robiłem to siłą rozpędu i na odczepnego. Zupełnie straciłem wolę walki potrzebną do forsowania nowych projektów, a z tak zwaną branżą utrzymywałem sporadyczne i wyłącznie zawodowe kontakty. Momentami nawet wiedzała mnie nawet głupia i nieraalna myśl, żeby rzucić to wszystko w cholerę. Oliwy do ognia dołąły jeszcze przedświąteczne zakupy.

Marysia ciągle mieszkala ze swoją mamą, oczywiście często nocowała u mnie. Ustaliliśmy, że Wigilia będzie u niej, a w pierwszy dzień świąt wybierzemy się do moich rodziców. Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem rozpoczęło się szaleństwo zakupów. Po piętnastu minutach w supermarketcie Marysia zauważyła:

— Minę masz, jakbyś chciał kogoś zabić.

— Nie można tego wykluczyć.

— Coś nie tak?

— Wszystko. Przecież to jakiś dom wariatów.

— Nie histeryzuj.

— Powiedz mi, czy to jest normalne, że całe rodziny przyjeżdżają na weekend do supermarketu?

— Co w tym złego?

— Dni wolne są po to, żeby zabrać dzieciaki nad rzekę, do lasu, w góry, a nie łązić całymimi dniami po sklepie. Maluchy mają na świeżym powietrzu poganiać się w trawie, ubabrać w piasku, ulepić bałwana, a zamiast tego siedzą w klimatyzowanym bunkrze bez jednego okna, płacząc się między regałami albo zjeżdżają z paskudnego wielkiego kotleta. Przecież to paranoja.

— Święta prawda, nasze dzieci nigdy w życiu nie zobaczą na oczy supermarketu.

— Nie drwij. Zobaczysz, jeszcze trochę, a biura podróży będą sprzedawać wczasy w hipermarketcie. Zabierz mnie stąd w diabły.

— Już, już, nie denerwuj się. Jeszcze tylko karp, bombki, drobne prezenty i do kasy.

To „jeszcze tylko” zajęło nam dwie i pół godziny, głównie z powodu gigantycznych kolejek przed kasami. Zastanawiałem się, jak to jest, w kraju bieda i bezrobocie, a w sklepach tok. Z drugiej strony, cóż w tym dziwnego, przecież moja ojczyzna od zawsze była również ojczyzną paradoksu.

— W nagrodę, że tak dzielnie zniósłeś dzisiajsze zakupy, pojedziemy złożyć Magdzie życzenia.

— Marysia ucałowała mnie w policzek.

Z wrażenia niemal upuściłem pakunki.

— Też mi nagroda...

— Nie to nie. Magda ma dyżur w stajni wyścigowej. Widziałeś kiedyś prawdziwe wyścigowce?

— A będą araby?

— Na pewno.

— Droga pani, trzeba było tak od razu. Jedźmy. — Natychmiast zapomniałem o koszmarze spędzonych w sklepie godzin.

Magda była koleżanką z roku. Miała ładną twarz i figlarny ujmujący uśmiech. Swoją drogą niezłe panienki studiowały wtedy na weterynarii. Dwa lata temu porzucił ją mąż. Samotnie wychowywała pięcioletniego syna i myślała, że radziła sobie z tym niezłe, bo nie sprawiała wrażenia kobietwyrzuczonej.

Po dokonaniu koniecznych prezentacji Magda wypaliła bez namysłu:

— I to jest ten twój superman?

— Tak, mój James Bond.

— Chyba że tak, bo na Rambo nie wygląda.

— Mam wrażenie, że coś ci się w nim nie podobaba — zaatakowała Marysia.

— Czy ja wiem, dlaczego zaraz nie podoba.

Chłop jak chłop.

— Oo... wypraszam sobie, to nie jest taki zwykły chłop.

— Wiem, wiem... Musi być niezwykły, zwykły to by z tobą nie wytrzymał.

Stałem tak i słuchałem, jak dziewczyny w najlepszych robiły sobie ze mnie żarty.

— A jak... no wiesz?... — dopytywała się Magda.

— Co?

— Jak tam te sprawy? — śmiała się koleżanka.

— Och, ty zbereźnico! Powiedz od razu, że za zdróść cię zżera.

— Nie musisz nic mówić, już ja po tobie widzę, za dobrze cię znam. Zaraz napijemy się kawy — rzuciła, nagle zmieniając temat — a na razie chodźcie, pokażę wam konie.

Weszliśmy do stajni. W boksach po obu stronach korytarza stało kilkanaście koni. W większości angliki, ale było też kilka arabów. Nigdy wcześniej nie widziałem tak zadbanych wierzchowców. Wczesane, świetnie odżywione i mimo grudnia z krótką sierścią, którą zawdzięczały ciepłej stajni. Boksy były czyste, słoma na podściółkę sucha, konie musiały czuć się tutaj jak w raj. Podzieliłem się swoją obserwacją.

— Wyglądają wspaniale, muszą się tu nimi dobrze opiekować.

— Rzeczywiście — potwierdziła Magda. — Doświadczają najlepsze pasze, podaje im się witaminy i mikroelementy, regularnie odwiedza je kowal i są pod stałą opieką lekarza.

— Żyć, nie umierać — skwitowałem.

— Jak dla kogo, one natychmiast oddałyby to wszystko za odrobinę wolności — westchnęła Magda.

— Jak to? — Zrobiłem głupią minę.

— Może tego nie dostrzegasz, ale to jest ośrodek treningowy wyłącznie w przekonaniu ludzi, dla koni to więzienie.

Byłem coraz bardziej pogubiony. Na szczęście z pomocą przyszła Marysia.

— Koń jest zwierzęciem stępowym — powiedziała — uwielbia przesterzeń. Zaakceptował stajnię, bo jest koniecznością, ale nie lubi spędzać w niej dużo czasu.

— Właśnie — podjęła druga pani doktor. — A tu koń przebywa na dworze jedną godzinę w ciągu doby.

— Znaczy, że ich nie wypuszczają — nie dowierzałem.

— A gdzie? Tu nie ma nawet padoków. Koń wychodzi rano na rozgrzewkę, później jada z nim na tor, a następnie chodzi kilkanaście minut w maszynie. W sumie daje to w najlepszym razie zaledwie godzinę, a pozostałe dwadzieścia trzy stoi w stajni. Normalne więzienie, skazańców też wypuszcza się na godzinny spacer.

— Do tego dochodzi jeszcze monotonia — włączyła się Marysia. — Tor, karuzela, boks, tor, karuzela, boks. I tak przez dwa, trzy lata treningu.

— Dalej wydaje ci się, że tym koniom jest tak fantastycznie? — zaatakowała Magda. — Popatrz na nie, spójrz im w oczy. Zobaczysz w nich jedynie smutek, rezygnację i tęsknotę za przestrzemiami.

Miała rację. Wyglądały pięknie, ale nie było w nich odrobiny radości.

— A jak to wygląda gdzie indziej, w innych stajniach, innych krajach? — Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej.

— Różnie — stwierdziła lapidarnie Magda.

— Wszędzie stoją w więzieniu?

— Przeważnie tak. Chociaż zdarzają się trenerzy, z reguły prowadzący mniejsze stajnie, u których konie wyscigowe relaksują się na padokach. Miałam kiedyś praktykę w takiej stajni. Rano był normalny trening, później konie wracały do bok-sów, gdzie były czyszczone, w południe dostawały obiad, po czym były wyprowadzane na wybiegi i zostawały tam do kolacji. Nigdzie nie widziałam tak szczęśliwych, zrównoważonych i spokojnych koni wyscigowych.

— A jak to się przekładało na wyniki na torze? — Szukałem słabego punktu.

— To było w Niemczech. Konie tego trenera wygrywały wszystko, co było do wygrania. Jego metody treningowe robiły naprawdę duże wrażenie. Na przykład był zaciekłym wrogiem karuzeli, twierdząc, że tylko ogłupiają konie. Poza tym, zamiast kręcić się w kółko po torze, trenował wierzchowce w terenie.

— Nie mogłaś zabrać na tę praktykę paru najszych trenerów?

— Oj, przydałoby się, przydało. Dobrze, chodźmy na kawę.

W gabinecie, a raczej, należałoby powiedzieć, w gabinecieku lekarskim przylegającym do stajni było bardzo ciepło. Pościągaliśmy kurtki i usadowiliśmy się przy niewielkim stole. Z braku trzeciego krzesła Marysia usiadła mi na kolanach. Magda zaparzała kawę.

— I co tam u ciebie? — zagała Marysia. — Twój „eks” się pojawił?

— Wyobraź sobie, że od pięciu miesięcy nawet nie odwiedził Grzesia. Już nie wiem, jak małemu tłumaczyć...

— To rzeczywiście drań.

— Mnie to mówisz. A na początku był tak samo słodziutki jak twój... — Po raz kolejny przeko-
nałem się, że Magda miała niewyparzoną buzię.

— Tylko proszę nie wrzucać wszystkich face-
tów do jednego worka — zaoponowałem.

— Już ja was znam — Magda obstawała przy swoim. — Proszę, jest kawa. — Ustawiła filiżanki na stole.

— Dzięki. A nie masz jakiegoś ciacha? — son-
dowała Marysia.

— No właśnie nie mam, ale obok jest maty skle-
pik. Posiedźcie chwilkę, a ja tam skoczę.

— Ja pójdę — zaoferowałem swoje usługi. —
Na pewno chcecie pogadać.

— Kochany jesteś — nie kryła radości Magda.

— Minutę temu mówiłaś zupełnie co innego —
wykorzystałem sytuację.

— Dobrze wiesz, że to żarty. Żeby skrócić sobie
drogę, będziesz mógł przejść przez stajnię innego
trenera i obejrzyysz sobie nowe konie.

Wysłuchawszy instrukcji, którą mam iść, ru-
szyłem we wskazanym kierunku.

Pośrodku stajni stało trzech mężczyzn. Najwyż-
szy z nich trzymał konia, zupełnie blokując mi
przejście.

— Dzień dobry — przywitałem się.

— Dobry — odburknęli pod nosem.

Nie mogąc pójść dalej, zbliżyłem się do araba
i pogłaskałem go po szyi.

— Piękny koń — podzieliłem się opinią.

— Eee tam, łach, panie — wycedził przez zęby
facet wyglądający jak miniatuurka dzokeja.

— Śmieć — fachowo zawyrokował drugi. —
Dwa sezony w treningu i ani razu nie wygrał.

— Ale wygląda na miłego konia — zachwy-
całem się zwierzęciem.

— Kogo to obchodzi.

— Nie gadajcie, tylko bierzcie się do roboty —
warknął ten, który trzymał konia. Ton jego głosu
nie pozostawiał wątpliwości, kto tu rządzi.

— Co mu jest? — spytałem ostrożnie.

— Skaleczył się, łapciuch jeden — poinformo-
wał dzokej. — Daj nogę.

Koń zrobił, o co go proszono. Istotnie, nad sa-

mym kopytem widać było niewielkie rozcięcie, z którego leniwie ciekła krew. Pomocnik dzokęja przyłożył do rany kawałek gazy. Środek przeciwinfekcyjny musiał podrażnić zwierzę, bo wyrwało nogę.

— Stój! — krzyknął ostro największy i pociągnął w dół za wodze tak mocno, że wędziłdo omal nie przerwało koniowi pyska.

Było to wyjątkowe okrucieństwo, tym bardziej, że zupełnie niepotrzebne. Zastanawiałem się, co zrobiłby Kita, widząc taki obrazek. Próbowałem łagodzić sytuację.

— Dobry konik. Dobry... spokojnie — przemawiałem do przestraszonego araba.

— Noga! — powtórzył opryskliwie dzokęja.

I tym razem koń zrobił, co kazano, ale już z mniejszą ochotą. Tamten drugi znów przyłożył gazę i zamiast przemywać miejsca wokół, przemywał samą ranę. Reakcja była łatwa do przewidzenia. Kiedy koń ponownie wyrwał nogę, trzymający go mężczyzna krzyknął:

— Stój, gnojul! — I szarpnął jeszcze mocnej niż za pierwszym razem.

Sytuacja zmuszała mnie do jakiejś reakcji.

— Może troszkę delikatniej — powiedziałem — przecież to go bardzo boli.

— Nie wtrącaj się pan! — Oprawca spojrzął na mnie z nieskrywaną agresją.

— Noga! — krzyknął po raz trzeci dzokęja. Ale koń nie miał już ochoty spełniać jego polecenia. —

Noga! — wrzasnął raz jeszcze. I kolejny raz zwierzę odmówiło współpracy.

— Głuchy jesteś? Noga! — ryknął ten najważniejszy i jeszcze mocniej niż dotychczas pociągnął za wodze.

— Niech go pan tak nie szarpie — podniosłem na niego głos.

— Będę go szarpał, kiedy mi się spodoba — odbił tamten i na potwierdzenie własnych słów bez żadnego powodu pociągnął za wodze.

Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie wiem, jak i kiedy moja ręka wystrzeliła z ramienia, a zaciśnięta pięść trafiła go prosto w szczękę. Delikwent puścił wodze i poleciał do tyłu, lądując między balami stomy. Błyskawicznie zerwał się na nogi.

— O ty, w mordę kopany, zachciało ci się wojować. — Mówiąc to, podwinął rękawy i złapał stojące obok widły. Już kiedy leciał na stomę, coś tużgnęło mi przed oczami, ale teraz nie było wątpliwości. Z jego lewego przedramienia patrzyła na mnie podobizna Marilyn Monroe. Uchwycił pewnie broń i ruszył przed siebie. Kiedy dzieliły nas trzy kroki, wykonał raptowne pchnięcie w okolicę mojej klatki piersiowej. Człowiek, który na sali treningowej spędził kilka tysięcy godzin, w niektórych sytuacjach działa instynktownie. Zrobiłem unik, moje dłonie zacisnęły się na widłach, a prawa noga wykonała klasyczne, okrężne kopnięcie *maruashi geri*. Mówiąc bardziej po ludzku, łobuz zarobił ko-

pa prosto w zęby. Przyjmuje się, że siła takiego uderzenia to około 500 kilogramów, nic też dziwnego, iż mój przeciwnik pofrunął jak latawiec.

Po chwili klęczał, trzymając pod ustami otwartą dłoń, na której ważny obserwator doliczyłby się przynajmniej czterech zębów. Podeszedłem bliżej.

— Pamiętasz Maciwodę?

Nie odezwał się, ale jego oczy zdradzały, że doskonałe wie, o co mi chodzi.

— Kazał cię pozdrowić — powiedziałem i wyszedłem.

Dziewczyny były wyraźnie rozczarowane.

— Dlaczego nie kupiłeś ciastek?

— Sprzedawca mi się nie spodobał.

* * *

Święta, przynajmniej dla mnie, były absolutnie wyjątkowe. Pierwszy raz w życiu nie byłem sam. Nie chodzi mi o to, że do tej pory spędzałem je samotnie. Wręcz przeciwnie, zawsze w gronie rodzinnym, zgodnie z tradycją, z choinką i Mikolajem. Ale po raz pierwszy była ze mną kobieta, moja kobieta. Rodzice przyjęli Marysię tak, jak się spodziewałem — z ogromnym utęsknieniem. Nie ma co, długo kazałem im czekać na przyszlą synową. Kiedy po kilku chwilach się okazało, że moja wybranka jest wspaniałą dziewczyną, byli najwyczajniej szczęśliwi.

Przyjechaliśmy na tyle wcześnie, żeby przyłączyć się do świątecznych przygotowań. Mama i Marysia krzątały się w kuchni, podczas gdy ja i ojciec wzięliśmy się za sprawianie ryb. Była to dla mnie czynność raczej zwyczajna, ponieważ zanim dobrze nauczyłem się chodzić, dostałem do ręki wędkę. Może dlatego śmieszą mnie te przedwigilijne kretyńskie wywiady z aktorami i pytania w stylu: A czy uznany gwiazdor to karpia zabije czy nie zabije? A czy się boi, a czy się brzydzi? Bez sensu. Świnki też żaden aktorzyzna nie ukatrupi, za to cały rok obżera się wędlinami.

Łowienie ryb jest w naszej rodzinie tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Łowił dziadek, łowi ojciec i stryjowie, łowię ja z bratem i brata syn też już chodzi z wędką.

— Tato, słyszałeś, że na rynku pojawiły się karpie z ludzkim genem wzrostu? — zagađnałem.

— Eee... — Zareagował, co w wypadku ojca należało tłumaczyć: Synu, chyba wstawiasz mi jakiś kit.

— Poważnie. Fachowcy od inżynierii genetycznej wyhodowali karpia zmutowanego z człowiekiem.

— To znaczy, że co... że przy wigilijnym stole będziemy zjadać sami siebie po kawalku? — pytał z niedowierzaniem ojciec.

— Na to wygląda.

— Daj spokój, synu. Co to się dzieje na tym świecie. — Uśmiechnął się do siebie. — To te-

raz ryba po grecku nabierze zupełnie innego znaczenia.

Lubiłem jego błyskotliwość i oryginalne poczucie humoru.

— Nie mówiąc o karpniu po żydowsku — dorzuciem.

— Najgorzej będzie z tymi ekologami.

— Dlaczego? — Nie wyczułem podstępny.

— Bo jak nic dla zmutowanego z człowieka karpia zażądają praw wyborczych.

Roześmiałem się w głos.

— Tato, a jak myślisz, karpie mają przekonania lewicowe czy prawicowe?

— Do końca nie wiadomo, chociaż lubią bracia czerwone.

Po tej interesującej wymianie poglądów na temat inżynierii genetycznej rozmowa zeszała na tematy wędkarskie. Ojciec opowiadał mi, gdzie był, co złowił, jakie były warunki, jaka woda. Oczywiście pochwalili się również nowym sprzętem.

— Dostałem ładną odległościówkę, sześć i pół metra, leciutka, o bardzo dobrej akcji.

— Masz do niej kołowrotek? — spytałem podstępnie.

— Nie, ale na sezon muszę dokupić.

Ucieszyłem się w duchu, bo kołowrotek miał być dla ojca gwiazdkowym prezentem. Szybko zmieniłem temat, żeby przypadkiem się nie domyślił.

— Może w przyszłym roku wybierzemy się gdzieś razem na ryby?

— Pewnie, wpadnij przynajmniej na tydzień, to pojedziemy nad Odrę.

— Dobrze — obiecałem.

Zanim wyfrunąłem z rodzinnego domu, wiele dni i nocy przesiadywałem razem nad rzeką. Mieliśmy swoje ulubione główki, na których rozbijaliśmy się z całym wędkarskim majdanem, a nierzadko i z namiotem. Niewtajemniczonym wytuszczyć, że główka jest czymś w rodzaju falochronu wychodzącego w poprzek nurtu. W pobliżu tworzą się przewaźnie doły i zagłębienia, które są ulubionymi miejscami żerowania rzecznych leszczy, kleni, jazi, a czasem i sumów. Zdarzało się, że główkę obok zajmował znajomy wędkarz i wtedy ojciec czuł się w obowiązku wykonać swój koronny wędkarski numer.

— Wacek! — krzyczał do gościa, jeśli oczywiście był to Wacek.

— Co? — odpowiadał Wacek, naturalnie jeżeli był rzeczonym Wackiem.

— Masz robaki? — pytał ojciec. Odpowiedź była łatwa do przewidzenia, bo każdy, kto przyjeżdżał nad Odrę, był z reguły zaopatrzony we wszystkie możliwe przynęty. Nic też dziwnego, że Wacek — jeśli oczywiście... — bez sekundy zastanowienia odkrzykiwał:

— Mam!

— To idź do lekarza — radził dobrodusznie ojciec. Woda ma to do siebie, że głos się po niej, jak to mówią, niesie. Tak więc po chwili słyszający doskonale wymianę zdań wędkarze zanosili się od śmiechu. Ze dwadzieścia razy wykonał przy mnie ten numer i zawsze znajdował się jakiś Wacek — jeśli akurat to był... — który dawał się na to nabrać.

— Zobaczmy, co robią dziewczyny. — Tato wy-rwał mnie z zamyslenia.

Mama i Marysia piekły ciasto, gaworząc sobie o babskich sprawach, i było widać, że są w świetnej komitywie. Uznawszy, że poradzą sobie bez nas, ulotnił się do pokoiku wędkarskiego na strychu, gdzie ojciec zamierzał mi pokazać swoje najnowsze skarby.

* * *

Święta, święta i po świętach. Ani się obejrzelismy, a trzeba było wyjeżdżać. Kiedy się zegnaliśmy, ojciec stwierdził, że już dawno w naszej rodzinie nie było tak pogodnego i wesołego spotkania i że to wszystko dzięki Marysi. Przypadła im do serca i podczas świątecznych wieczorów jak bumerang wracała kwestia: kiedy ślub i kiedy ślub? Przeważnie odpowiadałem: „Dajcie nam święty spokój”. Ale rodzice nie dawali za wygraną.

— Słuchaj, Marysiu — mówiła mama — jaki on

jest, taki jest, lepszy nam się nie udał, ale może byś go wzięła?

— Zobaczę, co da się zrobić — śmiała się Marysia.

— Tylko pospiesz się, dziewczyno, bo to już stary pryk. Jeszcze trochę, a nie będziesz miała z niego żadnego pożytku.

— Bez przesady, nie jest z nim jeszcze tak źle.

— Skoro nie jest źle, to bierz go od razu, tak jak stoi.

— Ja to bym go i nawet wzięła, tylko czy on mnie zechce? — broniła się Marysia.

— No chyba by był głupi.

— Albo ślepy — dorzucił ojciec.

* * *

Sylwestra nie zapomnę do końca życia. I nie dlatego, że byliśmy na jakimś wykwiintnym hotelowym balu za tysiąc dolarów od pary. Nic z tych rzeczy. Nasi znajomi lekarze wybrali się na tydzień na Cypr i zostawili nam pod opieką dom razem z psami i końmi. Na początku myśleliśmy o zaproszeniu jeszcze kogoś, ale w końcu stanęło na tym, że Nowy Rok przywitamy we dwoje.

— Mały, tylko nie zrób sobie krzywdy! — krzyknęła z kuchni Marysia.

— Postaram się.

Szykowałam kolację, podczas gdy ja usiłowałam

zapewnić ciepło domowego ogniska, czyli napałić w kominku.

— Jak masz kłopoty, to poszukaj podpałki do grilla, powinni mieć w spizarcie.

— Dam sobie radę! — odkrzyknąłem ambientnie. Rozpalenie w kominku dla takiego mieszcucha jak ja wcale nie było prostą sprawą. Na szczęście po kilku próbach i swoistej gimnastyce nad kawałkami drewna ogień wreszcie zapłonął.

— Pali się, pali! — wydarłem się, jakby w ogniu stanęła cała chatupa.

— Naprawdę nie myślałam, że jesteś taki zdolny... Geniusz, po prostu geniusz. — Dołączając z kuchni.

Płonący kominek dodawał temu i tak magicznie-mu miejscu nieokreślonego ciepła i tajemniczości. Jak wszystko w tym domu był po prostu niezwykły. Stanowił dzieło, a właściwie rekordzieło gospodarza, ponieważ Marek wybudował go własnoręcznie od podstaw. Jego wyjątkowość polegała na tym, że powstał z kamieni polnych zebranych w okolicy. Kamienie miały różne kształty, kolory i wielkości. I o ile każdy z osobna był tylko niepozornym zwykłym kamieniem, o tyle połączone stały się dziełem sztuki. Przyzwyczajony do zimnych, chociaż ciepłych kaloryferów, jak zahipnotyzowany patrzyłem w żywy ogień. Kawalki brzozy pod wpływem temperatury wydawały z siebie różne

dźwięki, które razem tworzyły prawdziwą muzykę, kojącą dla ludzkiego ucha.

— Pomóc ci w czymś?

— Nie trzeba, za chwilę skończę — powiedziała, wychylając się z kuchni moja samodzielna kobieta.

Korzystając z okazji, postanowiłem rozzejrzeć się po niewielkim saloniku. Po chwili myszkowania odnalazłem ukryty za kominkiem regał z książkami. Pozornie nic w tym dziwnego, chociaż w dzisiejszych nowobogackich domach nie jest to znalezisko zbyt częste.

Przeczytałem gdzieś, że według statystyk w ubiegłym roku prawie 70 procent Polaków nie przeczytało ani jednej książki. Znaczy 70 procent się przyznało, a ilu wstydzilo się powiedzieć prawdę?

Co z tego, że ankieta jest anonimowa. Wyobraźmy sobie, że od roku nie mieliśmy w rękach żadnej książki — telefoniczna się nie liczy. Co tam od roku, od dziesięciu — żeby było bliżej prawdy. I nagle na zatłoczonym przystanku autobusowym podchodzi do nas ankieter z Centrum Ścigania Opinii Społecznej i pyta, czy w ubiegłym roku przeczytaliśmy chociaż jedną? Ze wszystkich stron atakuje nas kilkadziesiąt zaciekawionych spojrzeń. Z zastygłych w oczekiwaniu twarzy można wyczytać jedno: Ciekawe, co odpowie? Nakłamię czy się przyzna? I co byście odpowiedzieli? Siedem-

dziesiąt procent narodu nie ma odrobiny wstydu i mówi: „Nie czytałem”. Pozostali są bardziej ambitni — czytaj „wstydlivi” — i odpowiadają: „Oczywiście tak”. Z ostrożnych rachunków wynika, że książki czyta w naszym kraju kilku krytyków, i to wyłącznie z zawodowego obowiązku.

Jakiż to komfort psychiczny dla autora. Może wypisywać piramidalne bzdury, bez ładu, bez składu i bez sensu. Może tworzyć sensacje bez akcji, wiersze bez poezji czy historyczne tyrady bez cienia prawdy. Może wszystko, bo i tak nikt tego nie przeczyta.

Nie ma się co dziwić, że w tej sytuacji kto żył w tapie za pióro. Ciekawe, czy jest w Polsce choćby jedna osobistość życia publicznego, która nie napisała książki? Nagły spadek czytelnictwa zaowocował tym, że ludzie, którzy wczoraj z trudem podpisywali się na własnym immunitecie bądź na umowie o dzieło, dzisiaj wydają opasłe tomiska. Podobno czyta się to w więzieniach, oczywiście w ramach kary. Prawdopodobnie jest, że sędzia daje klientowi pięć lat do odsiadki i dwadzieścia tomów wypocin prawicowych polityków do przeczytania. A za cięższe przestępstwa dychę i wszystkie białe księgi napisane przez luminarzy lewicy. Nareszcie zrozumiałem, skąd się biorą tak częste wizyty w więzieniach naszych parlamentarzystów. Przyjeżdżają, żeby robić sprawdziany z treści lektury. Nie bez kozery mówi się w sejmie, że najważniejsza jest nie surowość kary, ale jej nieuchron-

ność. Co prawda, to prawda. Przy okazji postuluje, żeby wszyscy skazani, którzy przebrnęli przez lewicowego białego kruka i prawicowego czarnego, podlegali natychmiastowej i dożywotniej amnestii. Już nie te czasy, żeby czytać dla samej przyjemności. To za komuny książka była na wagę złota. Dzisiaj jest na wagę w supermarkecie. Kilogram książek kosztuje pięć złotych.

Zaczęłam się przyglądać tytułom. Dziwne, na kilku półkach nie znalazłam żadnej normalnej pozycji czy znajomo brzmiącego mi tytułu. Nie powiem, że bym był jakimś wybitnym czytelnikiem, ale parę książek w życiu przeczytałam. Dosyć dobrze orientowałam się w klasycznej literaturze, lubiłam dobrą sensację spod znaku Forsytha czy Ludluma, znałam nawet utwory polskich pisarzy nowego pokolenia, jak Stasiuk, Gretkowska czy Grochola.

Tymczasem z półek patrzyły na mnie dziwne tytuły: *Tybetańska księga życia i umierania*, *Żyjąc wśród himalajskich mistrzów*, *Możesz uzdrowić swoje życie*, *Uzdrawiająca medytacja*, *Sztuka szczęścia*. Jeszcze dziwniejsze były nazwiska autorów: Rajinder Singh, Swami Rama, Sogjal Rinpocze, Louise L. Hay, Dalajlama.

— Marysiu! — zawolałam.

Musiła wyczuć w moim głosie jakąś ekscytację, bo przybiegła natychmiast, pytając:

— Co się stało?

— Popatrz, co odkryłem! — Wskazałem na dziwne znalezisko za kominkiem. — Nigdy nie widziałem takich książek.

— Większość z nich przeczytałam.

— O czym one są?

— To bardzo mądre książki traktujące o wnętrzu człowieka, o duchowości, o Bogu.

Wzięłem do ręki pierwszą z brzegu i otworzyłem na chybił trafił. Mój wzrok padł na fragment podkreślony zielonym flamastrem.

— Posłuchaj tego: „Są tylko dwa sposoby na życie. Jeden to życie tak, jakby nic nie było cudem. Drugi to życie tak, jakby wszystko było cudem”. Albert Einstein. Dziwne, największy umysł w dziejach ludzkości wierzył w cuda — skostatowałem.

— Inaczej nic nie ma sensu. Istnienie, życie...

— Jak mam rozumieć to, że wszystko jest cudem?

— Dosłownie — powiedziała Marysia. — Popatrz za okno na te złote gwiazdy na czarnym niebie. Popatrz na te piękne brzozy i sosny. A ten srebrnobiały śnieg? Kiedy stopnieje, pojawi się zielona, pachnąca trawa, zakwitną kolorowe kwiaty, zaśpiewają ptaki. Czy to nie jest cud? Weźmy samego człowieka. Czy jakiś najzdolniejszy nawet naukowiec jest w stanie skonstruować coś równie doskonałego? Każdy oddech jest cudem, każde uderzenie serca czy myśl... Zastanawiałeś się, jak ogromna jest potęga myśli?

— Czasami, pisząc, próbuję uchwycić moment,

kiedy coś, co mogę przełać na papier, przychodzi mi do głowy, i w jaki sposób to się dzieje.

— I co?

— Nigdy nie mogę tego wylapać, koncentruję na czymś uwagę i nagle nie wiadomo, dlaczego przychodzi mi do głowy jakieś skojarzenie, które mogę zapisać w formie zdania. Ale dlaczego takie, a nie inne, dlaczego wymyślłam właśnie to, a nie co innego?

— Tak czy inaczej, czy to wszystko nie jest cudem?

— Jest. Ale co to znaczy żyć, tak jakby wszystkim nim było?

— A widzisz, dobrnęliśmy do sedna. Chodzi o to, żeby na otaczający świat patrzeć tak, jakby się go widziało pierwszy i ostatni raz.

— Z zachwytem...

— Największym, na jaki potrafisz się zdobyć. Każdego ranka tak samo mocno musisz się zachwycać rosą, śpiewem ptaków, tym, że jesteś zdrowy, że potrafiś coś napisać...

— Że mam ciebie.

— Wszystkim, dosłownie wszystkim.

— Dlaczego to jest takie ważne?

— Bo zachwył wyzwała radość, a radość daje szczęście. Człowiek radosny to człowiek szczęśliwy.

— W porządku, od tej chwili będę się zachwycał wszystkim, nawet najpaskudniejszym chw-

stem w ogrodzie, nawet najprzyzrydszym kundlem we wsi.

— A tymczasem pomóż mi nakryć do stołu, bo przyjdzie Nowy Rok, a my będziemy sterczeć przy kominku.

— Zrobię to z największym możliwym zachwytem.

— Nie naigrawaj się ze mnie.

Przytuliłem ją i pocałowałem w policzek.

— Nie mam zamiaru, jestem pod wielkim wrażeniem tego, co mówisz.

* * *

Pieczony pstrąg był wyborny, ale z utęsknieniem czekałem na chwilę, gdy skończymy jeść i znowu będziemy mogli rozmawiać. W tym czasie zadzwonił telefon i Marysia popędziła do kuchni, żeby go odebrać. Przez drzwi słyszałem fragmenty rozmowy:

— My wam też... wszystkiego najlepszego, Kochajcie się...

Po chwili Marysia krzyczała:

— Wojtek, chodź szybko, Marek chce z tobą pogadać!

Podjąłem słuchawkę.

— Szczęśliwego Nowego Roku — usłyszałem.

— Dzięki, piękne dzięki.

— Jak tam u was?

— Jeśli chodzi ci o twój dom i dobytek, to

wszystko w najlepszym porządku. Psy nakarmione, konie zdrowe, koty szczęśliwe. Swoją drogą nie mogłeś znaleźć lepszych opiekunów.

— Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jeździecie trochę? — dopytywał się Marek.

— Nie trochę, tylko codziennie.

— Przepraszam, zapomniałem, że rozmawiam z pierwszym kowbojem. A co z Ahmetem, przed naszym wyjazdem trochę kulał?

— W porządku, widocznie musiał się podbić.

Marek, mam do ciebie mały romans.

— Wal, chłopie, śmiało.

— Na regale za kominkiem znalazłem niesamowite książki, mógłbym parę pożyczyć?

— Już dawno chciałem ci je pokazać, ale miałem obawy, bo ludzie różnie reagują na takie rzeczy.

Cieszę się, że cię zainteresowały. Weź, które tylko chcesz i ile udźwigniesz.

— Dzięki. Ucałuj od nas Zosię i przekaz jak najbardziej serdeczniejsze życzenia. Bawcie się dobrze.

— Zaraz jej wszystko powtórzę. Wojtek — Marek nagle zmienił głos.

— Słucham?

— Marysię znamy dziesięć lat. Do tej pory kręcili się przy niej faceci, którzy nie dorastali jej do pięt. Znamy ją i wiemy, że jest tobą absolutnie zachwycona. I w ten sylwestrowy wieczór chcemy ci życzyć, żebyś jej nigdy nie zawiódł. Zaufała ci i bardzo cię kocha.

— Postaram się.

— Pamiętaj, że miłość to również, a może przede wszystkim odpowiedzialność za uczucia drugiego człowieka. Żeby nie było wątpliwości, uważamy, że jesteś świetnym facetem i w pełni na nią zasługujesz. Wybacz ten mentorski ton, ale mówię to jako przyjaciel.

— Dziękuję — wzruszyłem się — nigdy wam tego nie zapomnę.

— Do zobaczyska.

— Cześć. — Odłożyłem słuchawkę.

Marysia musiała zobaczyć we mnie jakąś zmianę, bo natychmiast zapytała:

— Co on ci powiedział?

— Żebym ciebie strasznie, ale to strasznie mocno kochał.

— No, mądry chłopak — stwierdziła kokieteryjnie.

— Bardzo.

Punktualnie o dwunastej strzelełem w sufit korkiem od szampana. Z oddali dochodziły odgłosy wybuchających petard. Narzuciliśmy na siebie kurtki i z kieliszkami szampana wyszliśmy na taras. Na niebie od strony Kampinosu co chwila pojawiały się bajecznie kolorowe race i zimne sztuczne ognie.

— Szczęśliwego Nowego Roku, mój ukochany mężczyzno. — Marysia stuknęła kieliszkiem o kieliszek.

— Przy tobie każda chwila jest szczęściem, a co

do piero rok. Szczęśliwego Nowego Roku — odpowiedziałem.

Po spełnieniu toastu przytuliliśmy się do siebie i przez chwilę pozostawaliśmy w gorącym uścisku, patrząc, jak niebo raduje się wszystkimi kolorami tęczy.

— Chodź, zajrzyjmy do stajni — zaproponowała.

Po zapaleniu świateł sennie już o tej porze konie wyraźnie się ożywiły. Głaskaliśmy je, życząc wielu wspaniałych rajdów po puszczy, radosnych galopów po łąkach i wyłącznie dobrych i czułych jeźdźców. Zamiast kieliszka szampana każdy wierzchołek otoczył po kilka marchewek i trwało ogólne, radosne chrupanie. Przysiedliśmy na belach słomy ustawionych przy jednym z bokсів i w ciszy chłoniliśmy tę niepowtarzalną atmosferę stajni.

— I nad czym pan tak дума, panie autorze — przerwała milczenie Marysia.

— Zastanawiam się nad tym mijającym rokiem.

— I...?

— To był bezsprzecznie najlepszy rok w moim życiu — powiedziałem łamiącym się głosem. — Dziś jestem zupełnie kim innym niż dwanaście miesięcy temu. Wydarzyło się tyle niesamowitych rzeczy. Poznałem i pokochałem ciebie. Przystałem palić. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zadbałem o swoją kondycję. Odkryłem konie i nauczyłem się jeździć. Poznałem tylu wspaniałych ludzi i tak wiele niezwykłych miejsc. O sto osiemdziesiąt stopni

zmieniem swoje dotychczasowe życie i spojrzenie na świat. To był prawdziwy rok cudów.

— I dzięki komu to wszystko?

— Oczywiście dzięki tobie, Marysiu. — Przytulę ją mocno.

— O nie, nie, nie. — Wyrwała się z objęć, wbijając we mnie wzrok. — Bardzo bym chciała, żeby tak było, ale to nieprawda.

— Jak to?

— Nieprawda, bo tego wszystkiego, o czym mówięś, nie zawdzięczasz mi, tylko biednej błąkającej się psinie, która wpadła ci pod koła. Gdyby nie Pointa, nigdy byśmy się nie poznali, a ty pewnie żyłbyś jak przedtem.

Suka, słysząc, że Marysia wypowiada jej imię, przybiegła do nas, mierzając ogonem. Złapałem ją za obrozę i wciągnąłem na słomę. Odstonilem jej grzywkę i spojrziałem w mądre psie oczy.

— Pointa, dzięki ci za wszystko.

Marysia przytuliła się do nas i dobrą chwilę leżeliśmy tak we trójkę.

— Powiedz, że to wszystko prawda, powiedz, że mi się to nie śni. — Patrzyłem w oczy ukochanej.

— Siodłaj konie.

— Co?

— Siodłaj konie, jedziemy do puszczy.

— Teraz?

— Natychmiast, trzeba godnie przywitać Nowy

Rok.

Rozdział XII

W połowie lutego zachorowała Pointa. Któregoś dnia zauważyłem, że ma kłopoty z chodzeniem. Marysia powiedziała mi przez telefon, że bym nie panikował i że po południu przyjedzie ją obejrzeć.

Zjawiała się kilka minut po piątej.

— Co się stało naszej dziewczynce? — zapytała od progu.

— Jakoś dziwnie chodzi.

— Kuleje?

— Tak mi się wydaje.

— Pointa, chodź do pani.

Pies ruszył w stronę Marysi, wyraźnie utykając.

— Niedobrze, coś się dzieje. A jak apetyt?

— Nie bardzo, rano trochę zjadła, ale jest przygaszona.

— Trzeba ją zbadać.

Marysia otworzyła torbę, wyjęła stetoskop, osłuchiwała psa z jednej strony, po czym przekreśliła go na

drugą i osłuchwała ponownie. Zajrzała do pyska, zaświeciła latarką w oczy i zmierzyła temperaturę. Następnie zaczęła oglądać i uciskać kończyny. Po chwili wydała diagnozę:

— Pies ma zapalenie stawów.

— Szlag by to trafił.

— Spokojnie, dostanie kilka zastrzyków i będzie w porządku.

— To coś groźnego?

— Nie sądzę. Przez kilka dni może mieć kłopoty z chodzeniem i będziesz ją musiał wynosić na siusiu. Myślę, że po tygodniu wszystko wróci do normy.

— Bogu dzięki. Skąd mogło się przyplatać to cholerstwo?

— Tego nigdy nie wiadomo, nie martw się, będzie dobrze.

Przytrzymałam psa, a Marysia zrobiła mu kilka zastrzyków.

Już po dwóch dniach było tak, jak obiecała. Znowu mogliśmy chodzić na spacer, a suka biegła jak gdyby nigdy nic. Szybko wrócił jej normalny apetyt i odzyskała tę niesamowitą radość życia, którą zarażała całe otoczenie.

Odetchnąłem z ulgą. Tyle się biedaczka nacierpiła, że już naprawdę wystarczy.

Mniej więcej tydzień później wróciłem wieczorem z nagrania. Kiedy otworzyłem drzwi, nikt nie witał mnie w korytarzu, nikt radośnie nie zaszczekał ani

nie zamerdał ogonem. Leżała w pokoju na swoim posłaniu i na mój widok ledwie uniosła głowę.

— Pointa, maluszku, co się z tobą dzieje?

Podszedłem do postania i pochyliłem się, żeby ją podnieść. Suka cicho zaskowyczała i z dużym wysiłkiem zrobiła kilka kroków. Nie wyglądało to dobrze, chodząc po pokoju, z trudem przestawiała tylne nogi, wyglądało to, jakby dopadł ją jakiś paraliż. Wystraszony natychmiast złapałem słuchawkę telefonu i wystukałem numer.

— Kochanie, z Pointą dzieje się coś niedobrego.

— Co się stało? — dopytywała się Marysia.

— Sama nie była w stanie się podnieść, a kiedy jej pomogłem, ledwie powłóczy nogami. Przyjdiesz?

— Oczywiście, zaraz u was będę.

* * *

— Niedobrze — stwierdziła po obejrzeniu psa Marysia. — Wygląda to na zapalenie stawów z przerzutami.

— Co to znaczy?

— Wcześniej była zaatakowana lewa noga, teraz zdecydowanie kuleje na prawą. Poza tym boję się, że może to być zapalenie bakteryjne.

— I co wtedy?

— Pies będzie unieruchomiony na dłużej i, niestety, trochę pocierpi.

— Ale wyzdrowieje?

— Pewnie, że wyzdrowieje. Nie martw się, nic straszniego się nie dzieje.

— Oby.

Poprosiłem, żeby Marysia została na noc, tak na wszelki wypadek. Rano po kolejnej serii zastrzyków pies wyglądał trochę lepiej, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Następne dni nie przyniosły zasadniczej poprawy. Wprawdzie były momenty, że pies trochę odżywał, podnosił się, usiłował coś zjeść czy napić się wody. Raz, może dwa sam zszedł po schodach i na trzech nogach pokuśtykał na trawnik. Przeważnie jednak leżał na swoim kocyku, nie wykonując żadnych ruchów, i było widać, że cierpi.

Trzy razy dziennie wynosiłem Pointę na trawnik obok bloku. Dwa piętra i czterdzieści kilogramów na rękach dawały mi się coraz bardziej we znaki. W końcu zacząłem odczuwać bóle kręgosłupa.

Jakieś dwa tygodnie od czasu, gdy suka zachorowała, podnosiłem ją jak co rano na siusiu. Ból spowodował, że lekko mnie ugryzła. Nie było sensu jej szarpać. Wkrótce obok posłania pojawiła się spora katuza. Wystraszyłem się i miałem coraz gorsze przeczucia. Marysia jak zwykle była na każdym telefon.

— Niestety, nastąpił przerzut.

— Co to znaczy? — dopytywałem się, będąc pewnym, że to nic dobrego.

— Zapalenie stawów zaczęło wędrować, teraz zaatakowało przednie kończyny. Przyłóż tutaj rękę, zobacz, jak wielka jest opuchlizna.

Delikatnie obmacałem psu łokieć. Miał rozmiar niewielkiej pięczki. Wewnątrz wyczuwało się jakąś przelewającą się substancję. Byłem przerażony.

— Co jej jest? — Patrzyłem na Marysię.

— Sama już nie wiem, nigdy nie spotkałam się z takim przypadkiem. Na pewno jest to spowodowane atakiem jakiegoś bakterii. Musimy zmienić leki, bo te niewiele już dają. Poza tym dostała tyle zastrzyków, że nie mam sumienia wjeść jej kłuc. Pojedziesz do hurtowni weterynaryjnej na Żoliborzu.

— Jasne.

Marysia wyjęła z torebki bloczek z receptami, chwilię coś pisała, następnie wydarła kartkę i przystrawiła pieczątkę.

— Przejdziemy na leki doustne, będziesz jej podawał trzy razy dziennie.

— Oczywiście, wytłumaczysz mi tylko, co i jak.

Uwinąłem się w pół godziny. Nowe lekarstwa dawały nadzieję i wierzyłem, że dzięki nim pies na pewno wyzdrowieje. Zdecydowanie też poprawił mi się nastrój. Wchodząc do mieszkania, ucałowałem Marysię.

— Kochanie, wszystko będzie dobrze, mam przeczucie, że Pointa szybko wyzdrowieje. Musisz jej tylko dawać te lekarstwa.

Nie zwlekając, rozpakowała zawiniątko, które przyniosłem. Przygotowała odpowiednie tabletki i podała je psu. Następnie rozmieszała gęstą miksturę w butelce i wlała mu do pyska.

— Mam nadzieję, że to pomoże...

— Jestem o tym przekonany — zapewnilem.

Usiedliśmy w pokoju przy kawie. Przytułem Marysię, uświadamiając sobie, że przez tę chorobę Pointy zupełnie o niej zapomniałem. Zgubiliśmy gdzieś tę fantastyczną bliskość, dzięki której rozumieliśmy się bez słów. Z całą pewnością nie traktowałem jej ostatnio tak, jak się powinno traktować ukochaną kobietę. Raczej widziałem w niej lekarnia.

— Bardzo cię Kocham — zapewnilem. — Kiedy tylko ten koszmar się skończy i Pointa będzie zdrowa, pojedziemy gdzieś na konie, co ty na to?

— Trzymam cię za słowo.

— Weźmiesz parę dni urlopu albo zamienisz się na dyżury i wyskoczymy na cały tydzień. Okay?

— Okay.

Poszedłem do kuchni, żeby włączyć czajnik na drugą kawę, a wracając, zajrzałem do Pointy. Miała szybki i płytki oddech, język wysunął się jej z pyska. Poglaskałem ją, ale nie zareagowała. Zawolałem: „Pointa” — nic. Pochyliłem się i zauważyłem, że źrenice latają jej w poprzek.

— Marysiu! Pointa w ogóle nie reaguje, nie ma z nią kontaktu.

— O matko, wpadła w śpiączkę, odjeżdża nam.

Bierz ją na ręce i szybko do lekarzy, tutaj nic nie wymyśle.

Po raz drugi w życiu wchodziłem do gabine tu, niosąc nieprzytomnego psa. Widac historia lubi się powtarzać. Marysia szybko podłączyła kropłówkę, dała Poincie kilka zastrzyków, w tym rozkurczowy i na uspokojenie. W końcu przeniesliśmy ją na ten sam materacyk, na którym wracała do zdrowia.

— Mówiłaś, że wszystko będzie w porządku.

— Bo nic nie wskazywało, że stanie się coś takiego.

— A co się stało?

— Został zaatakowany mózg.

— W jaki sposób?

— Musiało pęknąć jakieś naczynko i to świnstwo ze stawów dostało się do krwioobiegu.

— I co teraz?

— Nie wiem, może organizm to zwalczy.

— Są jakieś szanse?

— Nie ma co spekulować, trzeba poczekać.

Czuwaliśmy całą noc, prawie się do siebie nie odzywając. Siedzieliśmy na fotelach we wnęce, pililiśmy jedną kawę po drugiej i mniej więcej raz na pół godziny sprawdzaliśmy, co się dzieje z psem. Nie miałem w zwyczaju się modlić i nie pamiętam, kiedy robiłem to ostatnio. Jednak tej nocy modliłem się ze wszystkich sił, najlepiej jak umiałem, i prosiłem Boga, żeby Pointa wyzdrowiała.

O trzeciej nad ranem Marysia zmieniła jej krop-
lówkę. Suka leżała bardzo spokojnie. Galki oczne
przeszły jej latać, ciało się rozluźniło i wyglądało,
jakby smacznie spała. Wydawało mi się, że najgor-
sze ma już za sobą i lada chwila się obudzi.

Kiedy zajrzeliśmy o czwartej, Pointa nie oddy-
chała. Marysia uklękała, dokonała rutynowych oglę-
dzin i podnosząc na mnie wzrok, ze łzami w oczach
powiedziała:

— Straciłszy ją, Pointa umarła.

* * *

Plakatem. Plakatem tak, jakby umarł ktoś z rodu
ny, jakby odeszła bardzo bliska mi osoba. Plakatem
jak po stracie najbliższego przyjaciela. Nawet dzi-
siaj, gdy wspominał tamte chwile, a minęło już
sporo czasu, ciągle mam łzy w oczach. Tak na-
prawdę nigdy nie pogodziłem się z tą stratą i praw-
dopodobnie nigdy się nie pogodzę. Pewnie znajdą
się tacy, którzy uznają, że dramatyzuję, że pies to
pies i tyle. Ale tak może powiedzieć tylko ktoś, kto
nie kocha zwierząt. W jakiś dziwny, trudny do
wytłumaczenia sposób cały czas czuję jej obecność.
Mam wrażenie, że jest gdzieś blisko, że nade mną
czuwa. I to trochę łagodzi mój ból, kiedy myślę
o Poincie. A myślę o niej każdego dnia.

Resztę nocy spędziłem, przypominając sobie
wszystkie wspaniałe chwile, w których pies nam

towarzyszył. Wspominaliśmy nasze wyprawy na
konie, weekendowe eskapady, pobyt w Janowie
czy ostatnie tak udane święta.

Rankiem spytałem:

— Co się z nią teraz stanie?

— Normalnie, kiedy jakieś zwierzę odchodzi,
wkładamy ciało do lodówki, a później zwłoki pod-
dawane są kremacji.

— Musimy ją pochować.

— Myślałam o tym, ale gdzie?

Zadzwońnięm do Marka i Zosi. Było im strasznie
przykro i tak jak przypuszczałem, nie mieli nic
przeciwno.

Okolo południa zjawiliśmy się u nich. Znalaz-
łem osłonięte, zaciszne miejsce wśród brzoźek, do-
kładnie naprzeciw Puszczy Kampinoskiej, którą
Pointa tak uwielbiała. Wykopałem spory dół i zło-
żyłem w nim mojego ukochanego psa. Marysia
stała tuż obok mnie. Pamiętam, że powiedziałem:

— Pointa, dzięki ci za wszystko. Za twoją mą-
drość, wierność, za radość życia, której mnie na-
uczyłaś. W planach, które snulem na przyszłość,
zawsze byłaś u mojego boku. Chciałem się tobą cie-
szyć przez wiele, wiele lat. Stało się inaczej. Żegnaj,
mój ukochany piesku.

Powoli zasypałem dół. Znalazłem dwa duże pol-
ne kamienie i ułożyłem je na grobie, tak aby two-
rzyły niewielki pomnik. To było wszystko, co mog-
łem dla niej zrobić.

Siedzieliśmy w saloniku. Zosia dwoiła się i troiła, żeby poprawić mi nastrój. Wiedząc, że przyjdziemy, upiekła jabłecznik, który tak uwielbiałem, ale tego dnia ledwo się zmusiłem, żeby spróbować jeden kawałek. Marek, doskonale rozumiejąc mój ból, milczał, dotrzymując mi towarzystwa.

— Wiem, że to nie ma żadnego sensu — powiedziałem — ale to pytanie samo ciśnie się na usta. Dlaczego?

Marek spojrzął mi w oczy.

— Pamiętasz, jak powtarzałeś, że Pointa jest tak mądra, że w przyszłym wcieleniu na pewno będzie człowiekiem?

— Bo to święta prawda.

— A może ona na to następne wcielenie nie chciała już dłużej czekać?

Rozdział XIII

Dzisiaj mija dokładnie rok od dnia, kiedy jadąc jak wariat Trasą Katowicką, potrąciłem błakającego się dużego, czarnego psa. Tadzio — powtarzając za jakimś tybetańskim lama — powiedziałby, że nic się nie dzieje bez przyczyny. Gdyby nie tamto zdarzenie, nie byłbym w miejscu, w którym teraz jestem, nie byłbym tym, kim teraz jestem, a już na pewno nie kończyłbym pisanie tej historii, ponieważ nigdy by się ona nie wydarzyła.

Podobnie jak przed rokiem jest piękny majowy dzień. Siedzę na tarasie drewnianego domu z bali krytego osikowym wiórem. Chętupa pamięta jeszcze przedwojenne czasy, ale jest w świetnym stanie i prezentuje się absolutnie zjawiskowo, dokładnie tak jak dom moich marzeń. Jest położona na lekkim wzniesieniu, niecałe pięćdziesiąt metrów od nie-wielkiego malowniczego jeziora. Mojego jeziora. Idealnie gładkie lustro wody zmaciły przed chwilą tabędzie, które myszkują przy brzegu w poszuki-

waniu smakowitego kaska. Obserwuję je z tarasu mojego nowego domu.

Tak, tak. Kiedy znaleźliśmy to magiczne miejsce ukryte między pięknymi drzewami i niewielkimi pagórkami Puszczы Augustowskiej, nie miałem żadnych wątpliwości. Sprzedałem mieszkanie w Warszawie, a mercedesa zamieniłem na dużo mniej luksusową terenówkę. Zrezygnowałem z większości intratnych projektów, wynagajających mojej obecności w mieście, i zamieszkałem na kilkunasobektarowym ranczo nad jeziorem. Do najbliższej wsi i sklepu mam nieco ponad trzy kilometry. Posiadłość, na cześć ukochanego przeze mnie typu araba, nazwałem Doliną Kuhailana.

Przy skręcie z leśnej drogi ustawiłem tablicę z napisem: *Dolina Kuhailana 0,5 km*. Po dwustu metrach odwiedzający mnie przybysz natknął się na kolejną tablicę, której tekst ostrzega: *Uwaga, Indianie*. Na dowód, że to nie żarty, spomiedzy liter sterczy prawdziwa indiańska strzała. Po kolejnych stu metrach następny napis głosi: *Uwaga, skalpują*, a dla podkreślenia wagi sytuacji w tablicę wbity jest indiański toporek. Podjazd wieńczy drewniana brama, a nad nią przymocowana jest czterometrowej długości deska, na której półokrągłym dółtem wyryłem: *U Pana Boga za piecem*.

Od dwóch miesięcy jest to moje miejsce na ziemi. Decyzja o przeprowadzce nie należała do najłatwiejszych, ponieważż Marysia została w Warsza-

wie. Może się to wydawać dosyć dziwne, bo ani się nie pokłóciliśmy, ani z sobą nie zerwaliśmy, ot po prostu życie wybrało za nas.

Trafiliśmy w to miejsce zupełnie przypadkiem, choć jak wiadomo, przypadki nie istnieją. Był początek marca i wszędzie leżał śnieg. Oprócz domu była tu jeszcze drewniana stajnia, w której z powodzeniem można było trzymać kilka koni. Parę metrów dalej straszyla zaniedbana stara stodoła, a pośrodku podwórka, jak Pan Bóg przykazał, stała studnia. Mimo że gospodarstwo było zapuszczone, wyglądało jak z bajki. Jednak największe wrażenie zrobiła na nas bliskość jeziora. Gdyby się uprzeć, z tarasu domu można z rozbiegu skakać na główkę. Woda była czystułka, a widok bez względu na porę roku zapierał dech w piersiach.

Marysia doskonale czytała w mojej duszy i głowie. Nie musiałem nic mówić, wiedziała wszystko.

Powiedziała tylko:

- Nie martw się, zrobisz to, co musisz zrobić.
- A ty? Zamieszkasz tu ze mną?
- Przecież wiesz, że teraz nie mogę.
- Dlaczego?
- Nie zostawię matki samej, oprócz mnie niktogo nie ma.
- Mogłaby mieszkać tu z nami.
- Wojtek, zastanów się, ona całe życie spędziła w mieście. Nie można kogoś uszczęśliwiać na siłę. Poza tym jest jeszcze lecznica. Założyliśmy

ją we trójkę zaraz po studiach. Przez te kilka lat ciężko pracowałam, żeby stworzyć coś, co jest dla mnie bardzo ważne. I co? I teraz mam to wszystko zostawić?

— Przepraszam, masz rację. Wymaganie tego od ciebie byłoby wielką niegodziwością.

— Tak samo jak zatrzymywanie ciebie w Warszawie tylko z mojego powodu. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jesteś już parę kroków dalej, i bardzo to szanuję. Wiem też, że musisz się rozwinąć i realizować, i że nie zrobisz tego, mieszkając w mieście.

— Marysiu, co z nami będzie?

— Chciałabym to wiedzieć, ale jedynie, co wiem, to że cię kocham.

— Jak to jest możliwe, że dwoje stworzonych dla siebie ludzi nie może być razem?

— Pamiętasz, jak na początku, określając reguły naszego związku, ustaliliśmy, że nic na siłę?

— Pamiętam.

— Może to jest właśnie odpowiedź na twoje pytanie. Nie obciążaj się, to nie twoja wina. Rób, co uważasz za stosowne. I nie przesadzajmy, z Warszawy nie jest tu znowu tak daleko.

— Kocham cię.

Jeszcze tego samego dnia pojechaliliśmy do właścielki spisać umowę, a dwa tygodnie później spędziłem tu pierwszą noc. Przeprowadzka nie trwała długo. Zapakowałem po dach mojego no-

wego i niezwykle pojemnego jeeпа, część mebli zostawiłem, a resztę wrzuciliśmy na ciężarowego stara. I po pięciu godzinach z przerwą na obiad byłem na miejscu.

Nie powiem, że bym nie miał żadnych obaw. Wielokrotnie się zastanawiałem, jak to będzie, czy zaaklimatyzuję się w nowym otoczeniu, czy potrafię żyć inaczej? A jeśli się okaże, że moje marzenia o domku na odludziu i spokojnym szczęśliwym życiu blisko natury to tylko nierealne mrzonki sfrustrowanego życia mieszczaucha? Może długo nie wytrzymam bez tego wielkomiejskiego zgiełku? Gdzieś w głębi duszy miałem przekonanie, że tak jednak nie będzie. Tak czy inaczej wykonywałem skok na głęboką wodę, a wszyscy warszawscy znajomi chórem stwierdzili, że mi totalnie odbiło.

Nie byłem pewien, w jaki sposób przyjmie mnie miejscowa ludność, ale obawiałem się tego jedynie do czasu pierwszej wizyty w sklepie. Kiedy przystąpiłem jego próg, ekspedientka, a zarazem właścielka, uśmiechając się do mnie, powiedziała:

— Dzień dobry panu.

Szerze mówiąc, nie byłem na to przygotowany. Nigdy mi się nie zdarzyło, żeby w warszawskim sklepie ktoś powiedział do mnie dzień dobry. Ale nie była to Warszawa i najwidoczniej panowały tu inne zwyczaje i kultura.

— Dzień dobry pani — odpowiedziałem zniechęceni.

Następnie już nieco pewniej przedstawiłem się. Właścicielka odpowiedziała tym samym i podała mi dłoń, którą z szacunkiem ucałowałem.

— Pani Kasiu, jestem nowym mieszkańcem, wprowadziłem się do tego opuszczonego domu nad jeziorem.

— Wiem, wiem. Podobno nawet już się pan zameldował.

— Widzę, że nic się tu nie ukryje.

— Oczywiście, że nie. Panie Wojtku, tu jest wieś. W mieście to człówek może być anonimowy, a na wsi ludzie szybko się przekonują, kto jest kto. Pan tylko na wiosnę i lato?

— Nie, na stałe — zapewnilem.

— W takim razie witamy. Pewnie nikogo par jeszcze nie zna, dlatego gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się nie krępować.

— Dziękuję.

Biorąc przykład z pani Kasi, zaczęłam się wszystkim kłaniać i mówić dzień dobry. Nierządko, widząc ludzi na polu, zatrzymywałam samochód, przedstawiałam się, mówiłam, gdzie mieszkam, i zamieniałam z tubylcami kilka słów. Przyniosło to to zadziwiający efekt. Po kilku tygodniach znamem więcej ludzi, niż mieszkając w Warszawie przez dziesięć lat, a co ważniejsze, moja otwartość spotkała się z tym samym i bardzo szybko miejscowi uznali mnie za swojego. I mimo że od przeprowadzki minęło niewiele ponad dwa mie-

siące, czuję się tu jak u siebie, jakbym mieszkał tu od zawsze.

* * *

Nareszcie jestem z boku tego nieustającego wyścigu szczurów. Już żaden samochodowy dealer nie zmusi mnie, żebym się zaharowywał, bo moje dwuletnie auto jest stare i koniecznie trzeba wymienić je na nowe. Mój jeep ma osiem lat i jestem przekonany, że pojeżdżę nim jeszcze dziesięć. Podobnie jak żaden naganiacz nie wmówi mi, co mam jeszcze kupić, a żaden znajomy nie przekona, co trzeba mieć, w jakiej dzielnicy mieszkać i gdzie jeździć na urlop, żeby być na topie. Bawcie się sami, drodzy światowcy i Europejczycy, ja wyśiadam.

Jestem absolutnie szczęśliwy, mając to, co mam, i będąc w miejscu, w którym teraz jestem. Proszę was tylko o jedno: nie przyjeżdżajcie tu ze swoją dudniącą muzyką, grillami, ryczącymi motorówkami, wściekle dzwoniącymi komórkami i tonami plastikowych śmieci, które rozrzucacie po lasach. Zostawcie w spokoju resztki tej pięknej, dziewiczej natury. A jeśli już musicie wyjechać na wczasy czy na weekend, jedźcie do supermarketu.

* * *

Słońce przygrzewa tak mocno, że zaczynam się zastanawiać, ile stopni może mieć woda w jeziorze? Pewnie jest już całkiem ciepła.

— Stary, a może popływamy?

Pytam Mąciwodę, który skubie trawkę tuż przy samym tarasie. Stara miłość nie rdzewieje. Następnego dnia po załatwieniu formalności prosto od notariusza pojechałem na południe Polski do znajomego hodowcy.

— Dzień dobry, panie Stanisławie — przywitalem się, wysiadając z samochodu. — Wracam do pana niczym bumerang.

— Mogę się tylko cieszyć. — Starszy pan z animuszem uściskał mi rękę. — Słynny zaklinacz koni w moich skromnych progach.

— Niech pan nie przesadza.

— Gdzieżbym śmiał. Panie, co ja miałem po waszych ostatnich odwiedzinach.

— Co się stało? — spytałem z zainteresowaniem.

— Jakżeś pan wtedy Mąciwodę ujeździł, to zadzwoniłem do znajomego hodowcy, który mieszka parę kilometrów stąd. On się uważa za najlepszego jeźdźca na świecie, a z Mąciwody leciał jak ulegatki z drzewa. Raz nawet se zebra uszkodził. Więc mu powiedziałem, że był zaklinacz z Warszawy i konia obłaskawił.

— I co?

— I że teraz, jak się nie boi, to może pojeździć.

— Przyjechał?

— Za pół godziny. Wie pan, Mąciwoda zawsze bardzo mu się podobał, chciał go nawet kupować, ale nie mógł dać sobie z nim rady. W każdym razie przyjechał, osiodłał, poklepał, powiedział: „No, teraz już jesteś mój” i wsiadł.

— I pojechał?

— Żartuje pan. Ledwo się usadowił, a już wyleciał wyżej niż ta sosna, a jak gruchnął, to tylko ziemia oddała.

— Polamał się?

— Na szczęście nie. Ale mnie nawyzywał od kłamaców, powiedział, że wszystko zmyśliłem, żadanego zaklinacza nie było, a jeśli on na tego konia nie wsiadł, to nie ma siły, nikt nie wsiadzie.

— No to dobrze.

— Zależy komu. Rozklepał wszystko po okolicach, a teraz ludzie się śmieją, że opowiadam bajki o zaklinaczach.

— Dobrze, że koń jest, bo widzi pan, panie Stanisławie, przyjechałem, żeby go kupić. Ile pan za niego chce?

— Poważnie pan mówisz?

— Żebym miał przepłacić, bez Mąciwody stąd nie wyjadę. To ile?

— Czekaj pan. — Hodowca podrapał się po głowie. — To piękny koń, ale dla amatora takiego jak pan. Nikt normalny go nie kupi, bo przecież nie wsiadzie.

— Tym bardziej niech pan mówi, ile? — Z niecierpliwością czekałem, kiedy wymieni jakąś sumę.

— Czekał pan, panie Wojtku, przecież to nie piekarnia. A dałby pan radę jeszcze raz na niego wsiąść i pojeździć?

— Taki mam zamiar, nie kupuję go, żeby mu się przyglądać.

— To wiesz pan co, zrobimy tak. — Starszy pan chwilę się zastanowił. — Zaprosimy tutaj Kolečkiego, tego, co mnie wyzwał od kłamców, i jeszcze paru znajomych, a pan na ich oczach wsiądziesz na Mąciwodę i trochę pojeździsz. Jeśli pana nie zrzuci, koń jest pańską własnością.

— Za ile?

— Za Bóg zapłać. Grosza nie wezmę. To jak, stoi?

— A nie będzie pan załował, bo nie zamierzam z niego spadać?

— Panie Wojtku, z głodu, chwalić Boga, nie umieram, a gdzie mu będzie lepiej jak nie u pana...

Po godzinie przed stajnią zgromadziło się chyba pół wsi. Kiedy gospodarz poznał mnie ze wszystkimi, niecierpliwiony Kolečki nie wytrzymał:

— No, panie przeklinacz, czy tam zaklinacz, bierz pan tego konia i pokaz nam pan, jak wysoko lataasz.

Reakcja była łatwa do przewidzenia, z killkuna-stu gardel wydobyl się głośny, złowieszczy śmiech.

Gdy pan Stanisław objędział sąsiadów, zapra-

szając ich do siebie, ja przygotowywałem konia. Czyszcząc go w boksie, podnosiłem kolejno nogi i dotykałem wrażliwych miejsc, dając mu do zrozumienia, że z mojej strony nie czeka go nic złego. Później wyprowadziłem ogiera na padok i wsiadłem. Tak jak się spodziewałem, nie protestował. Wykonałem jeszcze kilka ćwiczeń rozluźniających i całkowicie usatysfakcjonowany, jak gdyby nigdy nic, odprowadziłem konia do boksu.

— Panie Wojtku, jest pan gotowy? — spytał pan Stanisław.

Kiwnąłem głową na potwierdzenie.

— Drodzy sąsiedzi i koniarze — przemówił gospodarz. — Korzystając z tego, że pan Wojtek odwiędził mnie ponownie, chciałbym, żebyście zobaczyli, w jaki sposób należy obchodzić się z końmi.

Mąciwoda był w okolicy doskonale znany, dlatego kiedy go wyprowadziłem, nikt z obecnych nie dawał mi jakichkolwiek szans. Ich miny jednoznacznie mówiły, że jeśli wytrzymam na grzbiecie pięć sekund, to i tak będzie cud.

Wsiadłem i ruszyłem kłusem. Wykonałem kilka kótek w lewo, następnie kilka w prawo, po czym powtórzyłem to samo, ale już w galopie. Na koniec zatrzymałem konia tuż przed widzami, puściłem wodze i stanąłem mu na grzbiecie. Mąciwoda stał nieporuszenie. Okoliczni koniarze patrzyli, ale najwidoczniej nie wierzyli własnym oczom, bo kręcili głowami w absolutnym milczeniu. Uśmiechnięty

Gdy pojawiły się końcowe napisy, wylączyłem odbiornik i z przyzwyczajenia ruszyłem w kierunku stajni.

Zapałilem światło i podszedłem do boksu. Klacz kręciła się nerwowo, wymachując ogonem na wszystkie strony. „Zacząły się bóle” — pomyślałem. Trwało to prawie pół godziny. W końcu Siwa ułożyła się na boku i zaczęła przeć. Pierwsze pojawiły się przednie nóżki. Emocje rosły w nieprawdopodobnym tempie, niemal słyszałem bicie własnego serca. Klacz parła nadal i wkrótce zobaczyłem łebek, a następnie całą resztę. Ostrożnie wszedłem do boksu i zdjąłem błonę z pyska źrebięcia, żeby się nie udusiło. Jest! Mniej więcej po piętnastu minutach źrebię oparło się na mostku, dźwignęło wątłe ciało i po chwili stało już na własnych nogach. Udało się, całe moje napięcie minęło.

Urodziła się przepiękna kasztanka bez odmian o kuhailańskim typie, której na cześć zasłużonej założycielki linii klaczy Cerkiew, dałem na imię Czarna Cerkiew.

Spoglądam w prawo na schodzący do jeziora padok. Mała Cerkiewka zatacza koła, galopując coraz szybciej wokół swojej mamy. Raz po raz zabawnie bryka i oddaje baranie skoki. Poruszony tym widokiem Maciwoda radośnie rży. Gdzieś na horyzoncie majaczy żaglówka.

— Wiesz co, Maciu — mówię pieszczotliwie do konia — kilkanaście lat temu pewien stary czło-

wiek opowiedział mi historię o Indianinie. Dzisiaj poczułem się jak ten Indianin, nareszcie robię to, co chcę.

Maciwoda wszedł na taras, położył głowę na moim ramieniu i na policzku poczułem jego ciepły oddech. Coś ogromnie głębokiego połączyło mnie z tym koniem. Arabowie święcie wierzyli, że Bóg tworząc kuhailana, do kosmyka grzywki nad czołem przywiązał mu dobro i szczęście. Miałem najprawdziwszego kuhailana, który stał się dla mnie najdroższym amuletem.

— Maciu, czy ty widzisz, jak jest pięknie? Naprawdę mamy tu jak u Pana Boga za piecem. I wiesz, czego tu tylko brakuje?... POINTY!

Epilog

Usłyszałem klakson. Dźwięk dobiegał z drugiej strony domu i wyglądało, że ktoś właśnie zaparkował przed gankiem. Ale kto? Komu przyszło do głowy, żeby odwiedzić mnie w niedzielne przedpołudnie? Poderwałem się z krzesła i z rosnącą ciekawością ruszyłem wokół domu. Wychodząc z rogą, zobaczyłem tuż przy wejściowych schodach znajome kombi. Mimo że na kamienistym podjeździe stało już kilka walizek, samochód był zaparkowany po dach.

— Marysia? — Patrzyłem na moją ukochaną kobietę, jakbym zobaczył ducha.

— We własnej osobie. — Uśmiechała się szelmowsko.

— Co ty tu robisz? — Nie ochłonałem na tyle, żeby zadać mądrzejsze pytanie.

— Jeśli nie masz nic przeciwko, to się wprowadzam.

— Wzięłaś urlop?

— Wprowadzam się na zawsze — oświadczyła, jakby było to coś zupełnie zwyczajnego.

— A mama?

— Nie uwierzysz, po dziesięciu latach zeszli się z ojcem. Jestem im tylko zawalidrogą.

Nie uwierzyłem.

— Zaraz, jak to na zawsze? A co będziesz tu robić?

— Leczyć konie, świnie, krowy, a poza tym mam nadzieję, że zatrudnisz mnie w stadninie.

— Przecież tu nie ma żadnej stadniny.

— Ale już niedługo będzie.

— Czy to prawda, czy tylko wszystko mi się śni?

Zamiast odpowiedzi na tylnym siedzeniu samochodu coś cichutko zapiszczało, a zaraz potem miała czarna kulka wytoczyła się przez otwarte drzwi i wprost pod moje nogi.

— Co to jest? — Pochyliłem się nad nieporadnym stworzeniem.

— Prezent, niespodzianka. Sześciotygodniowy długowłosy owczarek francuski, briard.

— Dla mnie?

— A widzisz tu kogoś innego, głuptasie?

— Jaki piękny. — Wziąłem szczeniaka na ręce i ucałowałem. — Pointa — powiedziałem mimowolnie.

— Nie może się wabić Pointa, bo to pies, a nie suka. Poza tym Pointa odeszła i już nie wróci. —

Marysia przytuliła się do mojego ramienia i po-
gładziła psiaka po nosie.
— Masz rację. Skoro więc nie może być Pointa,
niech będzie Morał.

* * *

CO MIESIĄC NOWA Olivia

TYLKO
2
50
zł

a w niej:

- filmowe hity
- supermodne dodatki
- bestsellery literatury kobiecej



Olivia. Kobieta taka jak Ty